

2/96

kwiecień
maj
czerwiec

PODLASKI KWARTALNIK KULTURALNY

Cena 2,50 zł

Nr indeksu 332194 ISSN 1234-6160



PODLASKI
KWARTALNIK
KULTURALNY

BIAŁA PODLASKA 1996

Wydawca:

Regionalny Ośrodek Kultury w Białej Podlaskiej

Redaguje zespół:

Danuta Bołtowicz, o. Jerzy Cygan, Tomasz Demidowicz,

Janusz Maraśkiewicz, Grzegorz Michałowski (przewodniczący Kolegium Redakcyjnego),

Janusz Szostakiewicz, Maria Pietruczuk (sekretarz)

Projekt okładki:

Mieczysław Skolimowski

Redaktor techniczny:

Czesław Zubeł

Skład i łamanie

Iwona Konecka

Ventura

Wojciech Witkowski

CorelDraw

**WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Dział Informacji Bibliografii
i Wiedzy o Regionie
21-500 Biała Podlaska
ul. Warszawska 12a, tel. 43-61-11**

Adres redakcji:

ROK 21-500 Biała Podlaska

ul. Warszawska 12; tel. 43 50 61

Prenumeratę Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego

przyjmują wszystkie Oddziały "RUCH" S.A.

do 5 września - na IV kwartał

Druk:

Poligrafia Regionalnego Ośrodka Kultury w Białej Podlaskiej

zam. 72-96 300

MIASTO I POWIAT BIAŁA PODLASKA PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ, CZ. I. WRZESIEŃ 1939 ROKU: NIEMIECKIE NALOTY I TUŁACZKA MIESZKAŃCÓW

Pogodny i pełen uroku miesiąc sierpień był zapowiedzią tradycyjnej "złotej polskiej jesieni". Ostatni tydzień swych akademickich wakacji spędziłem wspólnie z siostrą Leokadią Goleniową i rodziną wuja inż. Adama Towpika z dala od domu, w letniskowej miejscowości Otoki nad Bugiem w powiecie brzeskim, malowniczej okolicy, korzystając do woli ze słońca i plaży.

Przytulnie nam było w domku wynajętym od poleszuckiego chłopa. Domek był oddalony o kilkadziesiąt kroków od Bugu. I wszystko byłoby jak w bajce, gdyby nie to, że czasy były niespokojne, pełne napięcia nerwów.

Nie dany nam było wspólnie pozostać do końca urlopu, tj. do 31 sierpnia. W dniu 24 sierpnia o godzinie 14-tej zamącona została sielanka w Otokach. Na plażę przyjechał rowerem listonosz i wręczył kąpiącemu się wujowi telegram zawierający kilka lapidarnych słów: "Niniejszym odwołuję Pana z urlopu. Natychmiast wracać do kopalni. Dyrektor".

Do odjazdu najbliższego pociągu do Brześcia pozostało niespełna dwie godziny. Czas więc naglił.

Szybko na "łap cap" zaczęliśmy pakować rzeczy wśród wielkiego zdenerwowania. Z żalem w sercu odprowadziłem rodzinę wuja na przystanek kolejowy, pomagając dźwigać walizki. Wujenka i siostra popłakały się. W Otokach pozostałem z siostrą jeszcze dwa dni, aby zlikwidować "gospodarstwo" po wujaszku, zabrać resztę bagaży, jak słoje z konfiturami, z grzybami,

wędkii itp. oraz uregulować należności za dostarczone artykuły żywnościowe miejscowym gospośiom.

Na drugi dzień plaża opustoszała niemal zupełnie. Urlopowicze pośpiesznie "pakowali manatki" i wyjeżdżali do swych miejsc stałego zamieszkania.

Do Brześcia dojechalismy rannym pociągiem bez kłopotu, natomiast na głównym dworcu brzeskim był tłok niesamowity. W każdym zakątku było pełno żołnierzy różnych formacji, na posadzkach, przy ścianie dworca leżeli pokotem zmęczeni, w pełnym rynsztunku bojowym. Do godziny 18-tej oczekiwaliśmy na pociąg dla ludności cywilnej, w tym czasie przejechało kilka pociągów towarowych z wojskiem na zachód.

Z wielkim trudem dostaliśmy się do wagonu, gdyż wszystkie przedziały były zatłoczone wojskiem. Stojąc na korytarzu uważnie przyglądałem się żołnierzom; wprawdzie byli w doskonałym nastroju, lecz wyczuć było można, że inne uczucie gości w ich sercach, niż radość. Zdążali przecież na front i wszystko przemawiało za tym, iż wojna wisi w powietrzu. Na dworcu w Białej mimo woli zakręciły mi się łzy w oczach na widok odjeżdżających wojaków. Wróciłem do domu podniecony doznaną goryczą.

To już od miesiąca marca społeczeństwo żyło w niezwykłym napięciu i w niepewności, a co przeżywały rodziny, z których jedyny żywiciel został objęty mobilizacją marcową?

Temat o wojnie nie schodził z porządku dziennego: jedni byli zdania, że wojna jest nieunikniona, inni twierdzili, że Hitler tylko szantażuje i nie odważy się zaatakować Polski z uwagi na potężnych naszych sojuszników Anglię i Francję. Wszystkie gazety akcentowały, że "jesteśmy silni, zwarci i nie oddamy nawet guzika".

Napięcie wzrosło do zenitu w dniu 30 sierpnia 1939 roku, kiedy w porannych godzinach pojawiły się na miejscach widocznych ogromne obwieszczenia o powszechnej mobilizacji. Tłumy mężczyzn gromadziły się przed Powiatową Komendą Uzupełnień przy ul. Kościuszki. Przepełnione pociągi z powołanymi pod broń rezerwistami jechały w dzień i w nocy. Na ulicach widzi się dość często zapłakane kobiety, żegnające swych mężów, synów lub ojców.

Miejscowa ludność, jak też okolicznych wsi, pośpiesznie wykupuje sól, naftę, zapałki, cukier, mydło i inne towary pierwszej potrzeby. Ostatni dzień sierpnia niespokojnie układał się do zasłużonego wypoczynku, po znoej pracy znękanych mieszkańców. Miasto długo nie mogło usnąć, bądź to z powodu upalnego dnia, bądź też nasilenia przeżyć w związku ze zbliżającą się

wojną. Szeroko otwarte okna mieszkań świadczyły o dusznej i parnej nocy. Dopiero przed północą pozorny spokój zapanował nad uśpionym miastem, lecz nie trwał on długo, bo następnego dnia o godzinie 4.45 mieszkańcy Białej Podlaskiej zostali gwałtownie zbudzeni ze snu na skutek niespodziewanych wybuchów...

W dniu **1 września** wstałem o godzinie 5-tej rano, aby dokończyć zasypywania schronu przeciwlotniczego, wybudowanego w naszym ogrodzie przy ul. gen. Orlicz-Dreszera Nr 143 w Białej Podlaskiej. Przed rozpoczęciem zajęcia najspokojniej pozbierałem gruszki jakubówki opadłe w nocy, gdy nad lotniskiem zawarczał samolot. Warkot silnika wydał mi się dość dziwny, niepodobny do warkotu naszych maszyn, produkowanych w Podlaskiej Wytwórni Samolotów. Mieszkalem w pobliżu lotniska od kilkunastu lat i każdy warkot samolotu był mi dobrze znany. Wspomniany samolot leciał wysoko w chmurach.

Podobnie jak większość ludzi w owym czasie opanowana psychozą wojny, niespokojnie zacząłem wpatrywać się w niebo, skąd nadchodziło dudnienie. Wreszcie dojrzałem sylwetkę owego samolotu, był podobny do naszego "Łosia", lecz posiadał dłuższe skrzydła i bardziej wrzecionowaty kadłub. Samolot po chwili znikł w chmurach i odleciał w kierunku miasta. Szybko wrócił, obniżył lot, zatoczył krąg nad lasem Rudka i skierował się wprost na Podlaską Wytwornię Samolotów. Przypuszczałem, że będzie lądował. Przeleciał błyskawicznie nad lotniskiem i nagle dał się słyszeć przeciągły świst, po którym nastąpiły kolejne wybuchy w obrębie fabryki samolotów.

Była godzina 5.10. Ziemia zadrżała w posadach i zadzwoniły wszystkie szyby w moim mieszkaniu. Za odlatującym samolotem oddano kilka serii strzałów z karabinów maszynowych, zamontowanych poprzedniego dnia na dachach bloków fabrycznych.

Wybiegłem z sadu na podwórze, gdzie spotkałem ojca i dziadka. Obaj stali i badawczo wpatrywali się w kierunku fabryki. Wyszliśmy razem na ulicę, gdyż horyzont przysłaniały nam korony drzew owocowych. Nad zabudowaniami Wytwórni Samolotów unosiły się olbrzymie kłęby brunatnego dymu, wzbijającego się w górę. Ojciec mój bez namysłu powiedział: "To na pewno próba obrony przeciwlotniczej. W fabryce mówiono nam, że będzie próbny nalot, aby ludzi przyzwyczaić na wszelki wypadek".

Wracamy powoli na podwórze. Wszyscy domownicy wybiegli w tym czasie z mieszkania i trwożliwie pytają, co się stało. "To chyba próbny nalot" - wyjaśnił ojciec. "Ej gołubczyk - dodał dziadek - a mnie się wydaje, że

to nie próba, lecz wojna...". Wtem słyszymy donośny głos naszego sąsiada: "Panie Kutnik <samoloty> się palą, i to pewnie magazyny" - wołał z przejęciem siedzący na dachu obok komina Wojciech Zawadzki.

Ojciec szybko się przebrał, wsiadł na rower i bez śniadania pojechał do fabryki. Po drodze spotykał wielu swoich kolegów i znajomych z Wytwórni, którzy tragicznego dnia wcześniej niż zwykle śpieszyli, aby naocznie przekonać się o pożarze. Na ul. Samolotowej dojrzał ojciec zbiegowisko ludzi, zewsząd do fabryki zdążali pracownicy i ludność mieszkająca nie opodal. Od strony bramy fabrycznej dochodziły krzyki i nawoływania, padały jakieś rozkazy.

Przepychając się przez tłum ciekawskich, z trudem dostał się na dziedziniec fabryczny i skierował się do elektrowni na swoje stanowisko pracy. Ujrzał na własne oczy straszne skutki bombowego nalotu. Kotłownia uszkodzona znacznie, boczna ściana jakby odkrojona gilotyną od budynku, wewnątrz zasypane gruzem i pyłem. Magazyn z częściami zamiennymi, narzędziami oraz drugi z materiałami pędnymi dopalały się do fundamentu. Co pewien czas rozrywały się butle z tlenem i acetylenem, wylatując na obręb dziedzińca fabrycznego. Jedna z butli wpadła do budynku administracyjnego i zdemolowała ganek.

W czasie nalotu były też ofiary w ludziach. Zostali ranni: szofer Wytwórni, strażnik fabryczny oraz kilku żołnierzy, których natychmiast przewieziono do miejscowego szpitala. Na murawie obok płyty lotniska spoczywały przykryte kocami wojskowymi zwłoki trzech żołnierzy.

Niesamowity lęk i trwoga napełniły serca spokojnej ludności naszego miasta. Z pobliskich domów przylegających do Wytwórni wyleciały szyby z okien, odprysły tynki, zarysowały się mury... Zakładowa straż pożarna z bohaterstwem gasiła pożary, aby nie dopuścić do większych strat. Przybywali coraz to nowi pracownicy i przystępowali do ratowania mienia fabrycznego. Uprzątali gruz, zbierali rozrzucone narzędzia i części samolotowe. Brygada stolarska majstra Strupikowskiego zajęła się natychmiast wyrabianiem trzonek do łopat i kilofów. Inna grupa rzemieślników kopała rowy przeciwlotnicze na skraju lotniska i pod drzewami lub poprawiała istniejące już rowy strzeleckie. Na tego rodzaju pracach minął dzień roboczy. O godzinie 16-tej wracali pracownicy do swych domów, przygnębieni i złamani na duchu.

Radio w porannych wiadomościach obwieściło krajowi i całemu światu żałosny komunikat o dokonanej napaści Niemców na Polskę o świcie

1 września 1939 roku. Słowo wojna popłynęło na falach radiowych, opasując cały glob ziemski... W szeregu miejscowości nastąpiło przekroczenie granicy polskiej.

W kilka godzin po nalocie mieszkańcy bloków fabrycznych panicznie opuszczają swoje mieszkania i udają się do pobliskich wiosek. W ślad za nimi podążają także inni mieszkańcy, zwłaszcza zamieszkujący w bliskim sąsiedztwie lotniska i fabryki samolotów.

Po południu, około godziny 17-tej, nastąpił drugi nalot na przedmieścia Wola i na Wytwórnę Samolotów, o wiele groźniejszy w skutkach od porannego. Tym razem eskadra składająca się z 21 bombowców nurkujących nadleciała w szyku bojowym od zachodniej strony miasta. Przerażliwie zawyły syreny Fabryki Raabego, Straży Pożarnej i Wytwórni Samolotów, ogłaszając alarm lotniczy. Pierwsze bomby spadły na robotniczą dzielnicę, zwaną Łuzki. Piraci hitlerowscy zrzucili bomby na ulice: Szumową, Górną, Okólną i M. Konopnickiej. W czasie bombardowania zostały zabite kobiety: Jaroszo-wa, Strychowa, Pstyżanka, Lipkowa i Nokonowicz. Wśród rannych: Usówna, Mirończukówna i Nowicka do końca życia będą nosić ślady kalectwa po tamtym nalocie.

Oczywiście głównym celem lotników była Wytwórnia Samolotów. Wprawdzie nieproszonych "gości" przywitała artyleria przeciwlotnicza i zmasowany ogień karabinów maszynowych, lecz bezskutecznie bzykały złociste ogniki wypływane z kilku działek małego kalibru. Nic też dziwnego, że żadnej krzywdy nie wyrządziły napastnikom. Bomby spadły na zamierzone cele. Wybuchł pożar w tzw. "Studio", które spłonęło doszczętnie. Od bomb zapalających spłonęła malarnia, spawalnia, blacharnia, stolarnia i biuro techniczne. W gruzy obróciła się uszkodzona rannym nalotem kotłownia. Komin fabryczny spadł z cokołu i stanął na ziemi o dwa metry dalej. Uszkodzone zostały samoloty wyprowadzone uprzednio z hangarów, nie zdołano odtransportować ich w bezpieczne miejsce. Miały one odlecieć z Białej na inne lotnisko położone na wschodnich rubieżach kraju.

Ponadto bomby spadły na teren miasta na ul. Brzeskiej, obok Sądu Grodzkiego, oraz na ul. Reformackiej i zburzyły tam budynek Kasy Chorych. Na ul. Warszawskiej został zabity kapelan szpitalny ks. Miron Wróblewski, a kilka osób spośród ludności cywilnej odniosło rany.

Po tym nalocie Podlaska Wytwórnia Samolotów, która zatrudniała około 1200 pracowników, formalnie przestała istnieć jako zakład produkcyjny. W Białej wzrasta chaos i zamieszanie. Trwoga, strach i żałoba napełniły

serca mieszkańców Woli. Ostatni nalot spotęgował lęk i grozę wobec całkowitego braku skutecznej obrony przed napastnikami. Po zapadnięciu zmroku udałem się na plebanię swego proboszcza ks. Piotra Denejki, aby dowiedzieć się czy żyje i jak uchronił się przed nalotem. Dłużej zatrzymałem się u rodziny księdza wikariusza Pietkiewicza, u niego do późnej nocy dyskutowaliśmy z Jadzią i Marylą na temat zaistniałej tragicznej sytuacji. Dzięki Bogu wszyscy ocaleli, gdyż podczas nalotu nie wychodzili na podwórze, lecz strachu mieli co niemiara...

W drugi dzień wojny, późnym wieczorem, odprowadzono na cmentarz miejscowy, oprócz cywilnych, zwłoki trzech żołnierzy Wojska Polskiego, którzy zginęli śmiercią bohaterską na lotnisku przy obronie Wytwórni Samolotów.

Nastają ciężkie dni dla mieszkańców Białej Podlaskiej. Znaczna część ludności szuka schronienia poza miastem. Uciekinierzy osiedlają się w wioskach, koloniach u swoich krewnych lub znajomych. Powódź ludzi wraz z podręcznym bagażem płynęła nieprzerwanie w dzień i w nocy, różnymi środkami lokomocji. Drugiego dnia wojny wędrówka nabrała niebywałych rozmiarów.

Komunikat głównej kwatery niemieckiego Wehrmachtu dnia 1 września 1939 roku po południu ogłaszał m.in.: "Lotnictwo niemieckie zaatakowało dzisiaj w kilkakrotnych energicznych nalotach obiekty wojskowe i zniszczyło je na licznych polskich lotniskach jak np. Grudziądz, Puck, Poznań, Łódź, Tomaszów, Radom, Katowice, Kraków, Brześć, Małaszewicze i Biała Podlaska". W komunikacie zaś z 2 września m. in. donoszono: "Na lądzie zaatakowano liczne punkty oporu wojsk lotniczych szczególnie w Gdyni, Krakowie, Łodzi, Radomiu, Dęblinie, Brześciu, Małaszewiczach, Lublinie, Łucku, Gołębiu, Okęciu, Poznaniu-Ławicy. Znajdujące się w hangarach lub na polach startowych samoloty polskie - padły pastwą płomieni. Ponadto zniszczone zostały linie komunikacyjne, urządzenia kolejowe...".

Niedziela - **3 września**. Dzień pochmurny, lecz tylko z rana. Nadal bardzo ciepło. Na terenie fabryki samolotów wre gorączkowa praca przy rozmontowywaniu ocalałych maszyn, aby wywieźć je w bezpieczne miejsce. Furmankami wywożono narzędzia, sprzęt techniczny, półfabrykaty oraz wszelkiego rodzaju materiały na kolonię Lisy, Grabarkę i Janówkę. Demontaż Fabryki Samolotów trwa, natomiast ludność w dalszym ciągu opuszcza swe domy, aby być z dala od fabryki, która jak magnes ściąga na siebie samoloty nieprzyjacielskie.

4 września. W tym dniu razem z falą uchodźców z ulicy Dreszera opuściłem z matką i młodszym rodzeństwem mieszkanie i przenieśliśmy się na kolonię Lisy, odległą o 4 kilometry. W domu pozostał ojciec i dziadek. Przy wynajmowaniu podwozy we wsi Wólka Plebańska około godziny 15-tej zastał mnie nalot bombowy na drodze. Ledwie zdążyłem dobiec na skraj zagajnika, gdy gruchnęły bomby. Jedna z bomb spadła w odległości 80 metrów od mego schroniska. Przez cały wieczór szumiało mi w uszach i serce kołatało bez przerwy. Zamieszkałem na Lisach. Tam u państwa Ponikowskich znalazłem serdeczną gościnę. Dopiero późnym wieczorem odpoczęły nieco naprężone nerwy na skutek zaszłych niedawno wypadków. Groza zawisła nad krajem... Tego dnia, długo, niemal do północy, w poważnym nastroju rozmawiano u Ponikowskich. Wśród dyskutujących prym wodził Stanisław Kruczek, emerytowany starszy sierżant 34 Pułku Piechoty w Białej Podlaskiej. Siedem gospodarzy w przykładowej zgodzie przyrządzało posiłki dla swych rodzin na jednej kuchni. Ponad dwadzieścia osób, złączonych wspólną niedolą, tworzyło jedną zwartą rodzinę. Mężczyźni nocowali w obszernej stodole, niewiasty pozostawały w mieszkaniu.

5 września. Dyrekcja Wytwórni Samolotów zwołała ogólne zebranie pracowników w lesie Porosiuki. Głównym tematem zebrania były sprawy związane z nowo wytworzoną sytuacją wojenną. Omówiono też sprawę wypłaty zaliczek pieniężnych dla tych, którzy zdecydowali się wyjechać pociągiem do Równego, celem podjęcia dalszej pracy przy produkcji samolotów i naprawie uszkodzonych maszyn.

Na Lisach w ciągu dnia komentowano na różne sposoby istniejącą sytuację, tylko warkot nadlatujących samolotów rozpraszał zebranych. Jedni schodzili do schronu wykopanego w ogrodzie, inni kryli się w zagajniku za pniami drzew i trwożliwie obserwowali kierunek lotu, oczekując z napięciem jego skutków. Jak dalece strach opanował wszystkich, niech zilustrują podane niżej wypadki. Otóż Ryszard Strzałek codziennie jeździł do Białej, aby odwiedzić swego ojca, który pozostał na miejscu. W tym dniu wracając rowerem z Białej przywiózł trzy ulotki, zrzucone przez lotników niemieckich i dał nam do czytania. Na pierwszej stronie widniało duże zdjęcie klasztoru Jasnogórskiego, na drugiej zaś był szczegółowy opis, jak zachowali się Niemcy po zdobyciu Częstochowy. Z treści wynikało, że klasztor w ogóle nie był bombardowany, wbrew plotkom gazet zachodnich. Miejsce zostało uszanowane, a zakonnicy nadal odprawiają nabożeństwa. Ulotki wędrowały z rąk do rąk, każdy je oglądał badawczo, lecz nie dowierzał opisowi. Po pewnym czasie

żona Kruczka zaczęła się uskarżać, że zapiekło ją oko. Wówczas Kruczek zawyrokował, że ulotki są zagazowane i należy je natychmiast spalić, a żonie polecił zmyć ręce denaturatem. Oczywiście, wszystkie ulotki zostały spalone. Tymczasem Strzałek uśmieł się z Kruczka i stwierdził, iż ulotki te otrzymał od znajomego w Białej i dawał innym do czytania, i nic mu się nie stało. A oto kolejny przykład. W czasie demontażu fabryki samolotów, zwieziono do Ponikowskiego kilka furmanek blachy aluminiowej oraz kilkanaście skrzynek narzędzi. Do pilnowania mienia państwowego przydzielono wartownika z karabinem. Wartownik ten był wielkim utrapieniem dla wszystkich, a zwłaszcza dla Kruczka. Ten ostatni nie dawał mu spokoju ani na chwilę. Zmuszał go do siedzenia w ukryciu pod szopą. Dowodził bowiem, że lotnik niemiecki może zauważyć żołnierza i rzucić ładunek bomb na zabudowania Ponikowskiego. Każdy wartownik posłusznie stosował się do wskazań st. sierżanta. A ile było strachu przy zmianie warty. Wtedy Kruczek błagał powracającego do garnizonu wartownika, żeby nie szedł drogą do miasta, lecz przez las i by nie trzymał bagnetu na broni.

6 września. Kasjerzy Wytwórni Samolotów wypłacali zaliczki w dwóch miejscach na terenie miasta: na cmentarzu przy kościele Najśw. Marii Panny i przy ul. Brzeskiej w domu dr. Świątko. Na wyjazd do Równego oprócz wielu, zgłosił się również mój szwagier Roman Goleń, ojciec zrezygnował z wyjazdu.

W niespełna tydzień po wybuchu wojny wszelka łączność ze światem została zerwana. Nie było żadnych gazet. Czasem można było odbierać wiadomości z radiostacji Wilno, która w pewnych odstępach czasu podawała krótkie komunikaty, odezwy do narodu o zachowanie spokoju, nie opuszczaniu miejsc pracy itp.

7 września. Odwiedziłem ojca i zabrałem trochę artykułów spożywczych i owoców. Pod wieczór odjechałem na Lisy. Tego dnia niemiecka kwatera główna donosiła, że odwrót wojsk polskich postępuje nadal, że ciężko uszkodzono mosty na Wiśle na południe od Warszawy, że Dworzec Wschodni w Warszawie stoi w płomieniach; następnego zaś dnia, że rozbite wojska polskie znajdują się w odwrocie na całym froncie, m. in. na południe od Góry Kalwarii niemieckie jednostki przebiły się aż do Wisły, została zdobyta Łódź. Komunikaty z 9 i 10 września chełpiły się sukcesami niemieckiej armii w różnych stronach Polski.

11 września. W godzinach popołudniowych miasto Biała Podlaska zostało nawiedzone trzecim z kolei ciężkim nalotem. Grad bomb posypał się na fa-

brykę samolotów, na lotnisko, dworzec kolejowy oraz na tartaki, znajdujące się w sąsiedztwie lotniska. Podczas alarmu lotniczego zdołały jeszcze wystartować trzy nasze samoloty transportowe "Fukiery", lecz w powietrzu zostały zaatakowane przez myśliwce niemieckie. Jedna maszyna oderwała się od klucza i skierowała na zachód. Nad Ortelem Książęcym samolot ostrzelany przez Niemców musiał zlądować obok zabudowań rolnika Bondzarewicza. Maszyna roztrzaskała się o drzewka owocowe. Trzech lotników się uratowało, odnosząc lekkie obrażenia. Ponownie nadleciał bombowiec niemiecki i obrzucił leżący samolot bombami zapalającymi. Bomby spowodowały pożar zabudowań gospodarczych Bondzarewicza. Stodoła ze zbiorami, obora i chlew spłonęły.

W ciągu dnia, od godzin porannych, przez Białą Podlaskę ciągnęło wojsko polskie w odwrocie, zdążając ku Włodawie, rzekomo na miejsce koncentracji. Na twarzach żołnierzy malował się niepokój i przerażenie. Obojętni, przygnębieni, jechali na furgonach taborowych. W czasie minionych dni przekonali się aż nadto, że przeciw potężnemu wrogiemu lotnictwu nie było skutecznej obrony. Siało ono wszędzie zniszczenie, pożary i zagładę. Niejednokrotnie podczas swej wędrówki napotykali zgłiszcza zbombardowanych miast i wsi.

Trzeci nalot zburzył doszczętnie ocalałe po uprzednich nalotach budynki fabryczne, uszkodził poważnie tory kolejowe w obrębie dworca i wznicił cały szereg pożarów na ul. Dokudowskiej oraz w obu tartakach.

W mieście ewakuowały się pośpiesznie wszystkie urzędy i instytucje państwowe. W jedenastym dniu po wybuchu wojny można było spotkać w Białej Podlaskiej uciekinierów z Pomorza, z Kujaw, z Poznańskiego. Oni najbardziej siali panikę, opowiadając o tym, co widzieli na własne oczy w czasie swej długiej wędrówki. Uciekali więc mężczyźni, młodzież szkolna i inni zdolni do noszenia broni i nie było takiej siły, która by mogła zahamować płynącą lawinę ludzi...

Widna była noc 11 września, oświetlona łunami pożarów płonących ulic Dokudowskiej i Odpadek. Ponadto stale buchały w górę snopy iskiek od suchych desek w tartaku Żyda Nortmana i Piżycy przy ul. Dreszera 78.

Dzień 11 września pozostanie mi w pamięci do końca życia. W tym bowiem dniu o godzinie 22-giej wyruszyłem w towarzystwie czterech przyjaciół na tułaczkę... Pięciu nowych uciekinierów zdążyło z kolonii Lisy, przedzierając się przez zarośla, w kierunku szosy wiodącej do Łomaz. Przez jakiś czas nic nie mówiliśmy do siebie. Szliśmy w głębokim smutku i zadumie,

prowadząc rowery obciążone ręcznym bagażem. W sercach naszych łkało nieznane dotąd uczucie żalu po rozstaniu się z rodziną i najbliższymi.

Ziemia drżała od kanonady artyleryjskiej i od nieustannych detonacji bomb lotniczych. Niewątpliwie znamiona bliskości frontu. Po przebyciu kilku kilometrów dał się słyszeć coraz to wyraźniejszy gwar ludzi, gdyż szosa była już niedaleko. Posuwaliśmy się teraz szybciej, aby jak najprędzej dotrzeć do upragnionej szosy. Dosiedliśmy rowerów i jadąc zgubiliśmy się w morzu żołnierzy, wozów, samochodów, rowerów i tłumów ludzi. Wśród cofającego się wojska cofali się jednocześnie i cywile.

W nowej grupie uciekinierów byli wyłącznie mężczyźni, mieszkający podówczas w zagrodzie Ponikowskiego. A oto ich nazwiska: Stanisław Kruczek, Marian Ponikowski, Stanisław Wyrzykowski, Wacław Wielgo, mój szwagier i autor niniejszej kroniki, Antoni Kutnik.

W tłumie szybciej zapomina się o niedoli. Tu i ówdzie padają soczyste przekleństwa żołnierzy, chyba nic dziwnego, gdyż zakorkowane drogi ludnością cywilną w dużym stopniu utrudniały posuwanie się wojska. W gwarze i zgiełku dojechaliśmy po kilku godzinach do osady Wisznice. Tutaj za miastem przytuleni do siebie zasnęliśmy w ogrodzie jakiegoś gospodarza.

12 września. Kiedy zaczęło świtać na dworze, poderwaliśmy się wszyscy na równe nogi i skierowaliśmy się na Łyniew, pozostawiając rozgwarzony tłum poza sobą. Uważaliśmy, że tak wielkie skupisko ludzi może być ponętą celem dla lotnictwa niemieckiego.

Po ominięciu wioski podążyliśmy do pobliskiego lasu, gdzie się rozsiedliśmy na jego skraju. Samoloty nadal bezkarnie grasowały po niebie, zaraz po wschodzie słońca i bombardowały mosty, dworce, wioski, skupiska żołnierzy i cywilów posuwających się po drogach i szosach. Ludność ostrzeliwano z karabinów maszynowych. Po dłuższym wypoczynku i spożyciu śniadania ruszamy w dalszą drogę i wieczorem dobrnęliśmy do Włodawy. Miasto płonęło. Wszystkie ulice, place, podwórza zatłoczone wojskiem różnych formacji. Kierujemy się na most z zamiarem przedostania się za Bug.

13 września. Od wczesnych godzin rannych błakamy się wzdłuż rzeki Bugu w poszukiwaniu dogodnego brodu, jednakże bez skutku. Dopiero wynajęty przewodnik, rybak, za opłatą 10 zł w bilonie srebrnym wskazał nam możliwe przejście przez rzekę. Po pas zanurzeni w wodzie ciągnęliśmy obciążone rowery. Do brzegu dobrnęliśmy bez przeszkód i zaraz na skraju lasu, odpoczywając dłużej, suszyliśmy zamoczone ubrania. Długo naradzaliśmy się, w którą ruszyć stronę, i w wyniku perswazji Kruczka postanowiliśmy

oddalić się od Włodawy o kilkanaście kilometrów i zamieszkać w napotkanym, zacisznym chutorze. Wydawało się, że tam będziemy mogli bezpiecznie pozostać do chwili zakończenia działań wojennych.

Po przejechaniu poprzez bezdroża 16-tu kilometrów, zauważyliśmy pod lasem zabudowania gospodarskie. Gospodarza zastaliśmy na podwórzu zajętego jakąś robotą. Pnieważ głód dawał się nam we znaki, wyciągnęliśmy ze swych tobołków po kawałku słoniny i chleba, a za paczkę machorki grodzieńskiej dostaliśmy od wieśniaka misę gorących kartofli i po kubku zsiadłego mleka. W czasie szczerzej rozmowy wypytывaliśmy się owego wieśniaka o nowiny, ale nie były one dla nas pocieszające. Wieśniak z uporem twierdził, że na rzece Bugu ma być rozbudowana silna linia obrony dla powstrzymania najeźdźcy. W tym celu odbywa się koncentracja wojsk we Włodawie. Bliskość frontu, a szczególnie linia oporu nie wróżyła nam nic dobrego. Byliśmy spragnieni wypoczynku, a nade wszystko spokoju, wszak dość już mieliśmy kilkudniowej tułaczki nocami po nieznanych wertepach, wśród obcych ludzi.

Odczuwaliśmy wielkie zmęczenie z powodu nie dosypiania i zmiany trybu życia. I znowu do późnych godzin nocnych trwała wśród nas "narada wojenna", lecz nikt z nas nie potrafił ocenić sytuacji i podać widoki jakiegoś wyjścia. Jałowe były nasze rozmowy. Nocna kanonada spędzała nam sen z powiek. Długo nie mogliśmy zasnąć tej nocy... Niemców zaś główna kwatera Wehrmachtu informowała tego dnia, że ich armia "Wschód" ściga nieprzyjaciela, że wojsko niemieckie przekroczyło linię kolejową Warszawa-Siedlce, a jednostki zmotoryzowane krańcem skrzydła stoją w odległości 40 kilometrów na północ od Brześcia. "Zbombardowano fabrykę samolotów w Białej Podlaskiej i wzniecono pożary".

14 września. Nie było nam sądzone doczekać końca wojny w zacisznym chutorze. Kruczek za żadną cenę nie chciał pozostać dłużej i ponaglał nas do dalszej podróży. Wczesnym rankiem, po spożyciu śniadania pożegnaliśmy gościnnego chłopca i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Według mapy następnym punktem etapowym miało być miasteczko Ratno.

Jadąc rowerami, piaszczystą drogą, minęliśmy malownicze jezioro Świątaż, na którym najspokojniej pływały chmary dzikich kaczek i perkozów. Droga stawała się coraz trudniejsza, musieliśmy zejść z rowerów i dalej podążaliśmy pieszo. Na przodzie kroczył Ponikowski, a pochód zamykał Kruczek. - "Kiedy to się nareszcie skończy?" - ciężko westchnął Kruczek. Lecz nikt mu na to nie odpowiedział. Brnęliśmy dalej po głębokim piasku, który

przesypywał się po szprychach i butach, tworząc za nami tuman kurzu. Kiedy wyszliśmy na wzgórze, przed nami zarysowała się w oddali jakaś wioska. Przyspieszyliśmy kroku, ale nie na długo, bo sycki piasek i nieznosny upał nie dawał możliwości pośpiechu. Ostatkiem sił dotarliśmy wreszcie do wioski. Były to Wieliczkowice. Uboga, nędzna wieś poleska o ludności przeważnie białoruskiej. Tutaj niebawem zbieg okoliczności dał nam okazję dobrego wypoczynku i biesiady.

W połowie wioski na chybił trafił zaszliśmy na podwórze, aby przy studni napić się wody. Kruczek poszedł do chaty po kubek. W izbie znajdowało się dwoje ludzi. Niewiasta lat około dwudziestu pięciu, niechlujnie ubrana i mężczyzna o kilka lat starszy, w koszuli wypuszczonej na samodziiałowe spodnie, podpasany kolorową krajką. W czasie rozmowy mężczyzna rozpoznał w osobie Kruczka swego dawnego szefa z okresu odbywania czynnej służby wojskowej w 34 Pułku Piechoty w Białej Podlaskiej. Wnet zostaliśmy zaproszeni do izby. Gospodarze byli bardzo radzi z tego, że mogą przyjąć tak osobliwego gościa.

Po pewnym czasie wrócili z pola rodzice i zajęli się przygotowaniem poczęstunku. Stół nakryto obrusem z płótna lnianego, wyszywanego w różne kwiaty. Znajomy Kruczka przyniósł z komory kawał słoniny, pokrajał i ustawił w talerzu na środku stołu, z kufra wyjął pół litra wódki i nalał do małych szklaneczek. Na widok tych specjałów odeszło nas zmęczenie, rozjaśniły się zatroskane oblicza i po raz pierwszy od kilku dni naszej tułaczki wesołość zagościła w naszych sercach. Wśród biesiadników oczywiście Kruczek miał najwięcej do powiedzenia, nie opuścił też żadnej "kolejki" przy picu wódki.

Po obiedzie - a był to naprawdę pierwszy obiad od chwili opuszczenia naszych domów - rozłożyliśmy się na podwórzu na bujnej murawie na zasłużony wypoczynek. Pogoda nadal piękna i słoneczna, więc niektórzy "ucięli" sobie drzemkę poobiednią. Leżeliśmy tak aż do zachodu słońca i wydawało nam się, że od południa nie było słyhać żadnego warkotu tak uprzykrzonych samolotów. Wrażeniem swym podzieliłem się z Kruczkiem, który bez namysłu odparł, że to cisza przed burzą. Zanocewaliśmy u naszych gospodarzy w stodole. Spaliśmy twardo do godziny 6-tej. Tego dnia - wedle komunikatu głównej kwatery Wehrmachtu - armia niemiecka przekroczyła szosę Lwów-Lublin, jej jednostki wkraczały do Warszawy na Pragę. "Jednostki nacierające na twierdzę Brześć wdarły się od północy do strefy umocnień. Forty zostały częściowo wysadzone. Cytadela jest jeszcze obsadzona przez Polaków. Miasto Gdynia jest w naszych rękach..."

15 września. O godzinie 10-tej ruszyliśmy dalej. W ciągu dnia kryliśmy się w lesie, gdyż od brzasku znowu latały samoloty i zrzucały bomby gdzieś niedaleko. Po zachodzie słońca jechaliśmy gościńcem, prowadzącym do Ratna. Jazda nocą po nieznanym terenie była uciążliwa. Najczęściej szliśmy, prowadząc rowery.

Umęczeni wędrowką postanowiliśmy zanocować, lecz nigdzie nie napotkaliśmy zabudowań leżących przy trakcie, nie było widać żadnego światełka, które by zdradzało obecność mieszkańców. Po upływie ponad dwugodzinnego marszu weszliśmy na teren gęsto pokryty jałowcami. Przed nami ciemności egipskie. Zatrzymaliśmy się na chwilę, oglądając się dookoła, czy gdzieś nie błysnie jakieś światełko, ale na próżno...

Po wypaleniu papierosów nadal pilnie wpatrujemy się w ciemną dal i nagle ożywienie. Oto z lewej strony naszego gościńca zabłyśło na chwilę światło, które zaraz zgasło. Ruszyliśmy na wyczucie w tę stronę na przelaj, potykając się o wykroty i gęsto rosnące jałowce. Zaszczekał pies, znak nieomylny, że idziemy we właściwym kierunku. Stanęliśmy przed zabudowaniem otoczonym wysokimi klonami. Pukamy lekko do okna, lecz nikt nie odpowiada. Stukamy mocniej i również bez skutku. Wtedy Kruczek zastukał pięścią w okiennicę i zawołał głosem donośnym:

- "Otwierać, tu wojsko!" - i rezultat był natychmiastowy. Do okna zbliżył się mężczyzna w białym.

- "Kto tam? Czego wy chcecie?"

- "Otwierajcie, tu wojskowi. Chcemy tylko przenocować w stodole i nic więcej. Krzywdy wam nie zrobimy" - rozgadał się Kruczek.

- "Dobre panie, zaczekajcie, zaraz odkluczu" - spokojnie poinformował nas gospodarz z izby. Zapłonęła lampka. Słyszeliśmy jak chłop poczłapał do sieni i zaraz odryglował drzwi. Weszliśmy po cichu wszyscy i rozsiedliśmy się na ławie stojącej w kuchni pod oknem.

- "Może coś znajdziecie do jedzenia, zapłacimy pieniędzmi albo cukrem" - grzecznie zapytał Kruczek. Chłop zbudził żonę. Z kuchni wyjęła garnek i wysypała trochę ziemniaków do glinianej miski i podała cztery drewniane łyżki, po czym wyszła do sieni i przyniosła dzbanek oraz nalała dwa kubki mleka. Zjedliśmy wszystko z wielkim apetytem.

Sięgnęliśmy do swych tobołków i każdy z nas wysupłał po dwa kawałki cukru w kostkach. Położyliśmy cukier na stole. Gospoia wielce zadowolona zgarnęła kostki, owinęła w szmatkę i wyniosła do sąsiedniego pokoju. Zapaliliśmy papierosy częstując jednocześnie gospodarza, następnie Kruczek

przekroił paczkę machorki grodzieńskiej i podał chłopu. Długo dziękował. Zwinnym ruchem wyszedł z mieszkania i przyniósł dwa snopki słomy, rozrzucając ją na podłodze obok komina. Przykrył starą, wypłowiałą płachtą i życząc "dobrej nocy" wyszedł do drugiego pokoju. Usnęliśmy szybko... Główna kwatera wojsk niemieckich informowała Niemców o zdobyciu Przemyśla, Włodzimierza Wołyńskiego, Białegostoku. "Bitwa o cytadelę Brześć trwa..."

16 września. O świcie byliśmy już na nogach. Po wypiciu kawy zbożowej pojechaliśmy dalej, żegnani przez chłopą słowami "szczęśliwej drogi". Później się okazało, że to była wieś Żołobek. Poranek był mglisty, jechaliśmy więc powoli, aby nie wpaść na jakąś furmankę, wymijając stada krów wyganianych na pastwisko.

Do Ratna przybyliśmy około południa. Ponieważ samoloty stale buczały w górze, zatrzymaliśmy się w pobliskim lesie opodal Ratna i tam biwakowaliśmy aż do wieczora. Po zachodzie słońca wyszliśmy z lasu w poszukiwaniu noclegu. Tym razem nie mieliśmy z tym kłopotu. Zanocowaliśmy w stodole odległej 1 kilometr od miasteczka. Przyjęto nas bardzo gościnnie. Gospoia rozczulona opowiadaniem o naszej tułaczce, przygotowała posiłek, nie żałując pierzyny i poduszek. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że mąż jej został zmobilizowany w marcu 1939 roku, o którego bardzo była niepokojna. W czasie opowiadania ocierała ukradkiem łzy z oczu.

17 września. "Panowie pobudka, wstać. Pobudka" - wołał Kruczek, chociaż w stodole było jeszcze zupełnie ciemno. Powoli gramoliliśmy się z siana, nie chciano się wychodzić spod rozgrzanej pierzyny, lecz Kruczek uczynił taki rwetes, że spać już nie było można.

Z Ratna wyjechaliśmy o godzinie 6-tej rano w kierunku na Kamień Koszyrski. Po przebyciu około 8 kilometrów słyszymy nagle odgłosy silnego bombardowania. Z pośpiechem docieramy do lasu, szukając odpowiedniego schronienia przed lotnikiem. W lesie samopoczucie znacznie lepsze, niż na otwartej przestrzeni i skrajem lasu posuwamy się stale naprzód, uważnie nasłuchując dalszych detonacji, które stają się coraz wyraźniejsze.

Dopiero pod wieczór wyszliśmy ze swojej kryjówki i wnet ukazały się pierwsze zabudowania nieznanej nam miejscowości. Próbuje z mapy odszyfrować miasto. Był to Szack, niewielka osada. Z opowiadań mieszkańców dowiadujemy się, że przez osadę do godzin porannych ciągnęły tabory wojskowe i one były celem bombardowania. Wskutek nalotu spłonęło kilka domów i kilka zostało poważnie uszkodzonych. Z taboru zabito 8 koni i raniono

kilkunastu żołnierzy. Wokoło pełno rozbitego sprzętu wojskowego, przeważnie furgonów. Zanocowaliśmy w stodole u gospodarza na końcu jednej z uliczek.

18 września. Wstaliśmy jak zwykle wczesnym rankiem. Ja zostałem oddelegowany do miasta po zakupy i zasięgnięcie języka. Zakupiłem trochę żywności: słoninę, chleb, cukier i tytoń, z czego moi towarzysze byli bardzo zadowoleni. Oddaliliśmy się na peryferie owego miasteczka i z dala od drogi zatrzymaliśmy się na skraju lasu, celem spożycia śniadania. Po śniadaniu dyskutowaliśmy o dalszej trasie wędrówki. Dalszą rozmowę przerwał nam Wyrzykowski wskazując ręką na rozpiętą antenę obok cerkwi. Mała cerkiewka o jednej cebulastej wieżyczce ledwie była widoczna zza konarów wysokich topoli. Zaproponowano mi, abym poszedł do popa i posłuchał radia, wszak wszyscy byliśmy ciekawi aktualnych wiadomości.

W kilkanaście minut byłem już na miejscu. Przywitałem się z popem, któremu oznajmiłem cel swego przybycia. Zaprosił mnie do mieszkania, gdzie w sypialni na szafce obok łóżka stał nowy jeszcze "Detektor" na słuchawki. Pragnąłem dowiedzieć się czegoś konkretnego o sytuacji wojennej. Karmieni dotychczas najfantastyczniejszymi plotkami nie wiedzieliśmy absolutnie, co się dzieje w kraju, jak przebiegają działania wojenne, z jakim powodzeniem?

Pop poruszył kryształkiem i zaraz dały się słyszeć słowa spikera. Nadała radiostacja Wilno. Najpierw kilka komunikatów urzędowych, następnie zapowiedź pogadanki na temat "motoryzacja w obecnej wojnie". Odłożyłem słuchawki i poprosiłem księdza o nastawienie stacji Moskwa, uczynił to chętnie. W pokoju zapanowała cisza, otworzyłem usta i czekam w napięciu. Po sygnale charakterystycznym dla Moskwy na melodię międzynarodówki usłyszałem zapowiedź następującej treści: "Wnimanije, wnimanije. Zdieś go-worit Moskwa czerez radiostancju imieni Kominterna. Podajom poslednije izwiestja: - Jak informuje kwatera głównodowodzącego Armii Czerwonej, wojska nasze po przekroczeniu w dniu 17 września 1939 roku na całej długości granicy polskiej, mając na uwadze ochronę ludności ukraińskiej i białoruskiej - posuwają się bez przeszkód naprzód. Wzięto znaczną ilość jeńców i sprzętu wojskowego. Zajęte zostały następujące miasta: Kołomyja, Dubno, Łuck i wiele pomniejszych. We wszystkich miastach, wsiach wojska Armii Czerwonej przyjmowane są z wielką serdecznością przez miejscową ludność". Po zakończeniu komunikatu popłynęły dźwięki marsza wojskowego w wykonaniu orkiestry dętej. Odłożyłem słuchawki i spojrzałem na

duchownego, lecz nie miałem śmiałości więcej pytać go o coś, oszołomiony wiadomością...

Pożegnawszy sędziwego popa pogałem ile miałem sił w nogach do swoich współtowarzyszy niedoli. Zastałem ich siedzących na podwórzu. Nie trudno odgadnąć, jak przyjęli moje sprawozdanie ze słuchania radia. Wiadomość ta nie mieściła się w ich głowach. Nic z tego nie rozumieliśmy, co się stało. Nie byliśmy przecież w stanie wojny z Rosją Sowiecką, mieliśmy podpisany pakt o nieagresji. Trwaliśmy jakiś czas w głębokiej zadumie, nie mówiąc do siebie ani słowa. W tym czasie nadszedł nasz gospodarz i widząc zatroskane miny zdziwił się ogromnie. Kiedy poinformowałem go o przyczynie naszego zmartwienia, machnął ręką niedbale i powiedział:

- "Nie przejmujcie się panowie. To tak nasi rządząli krajem, tak też i wyszło, niech się oni martwią. Wy powrócicie do swych domów i będziecie nadal pracować na swoich miejscach. Nic wy na to nie poradzicie. Nasze dięto skraju my nyczeho ne znajem". Zdjął sierp z ramienia i spokojnie coś majstrował pod chlewem.

Zanocowaliśmy znowu w Szacku. Duszna i ciężka była owa noc z osiemnastego na dziewiętnastego września. Moi dzielni dotąd towarzysze byli całkowicie załamani na duchu. Z wielkim ożywieniem dyskutowaliśmy do późna w nocy nad nowo utworzoną sytuacją, lecz nikt z nas nic mądrego wymyślić nie potrafił. Nasuwało się ważne pytanie, dokąd teraz uciekać? Usnęliśmy twardo.

Niemiecki zaś komunikat z dnia 18 września zapowiadał, że kampania w Polsce zbliża się ku końcowi, Lwów okrażony, Lublin zajęty, z okrażonej Warszawy została rzekomo w dniu 17 września skierowana prośba do Głównej Komendy Wehrmachtu celem przyjęcia polskich parlamentarzystów, lecz do północy tego dnia nie zgłosił się żaden parlamentarzysta.

19 września. O świcie jak zwykle wyruszyliśmy dalej, aby przed zapadnięciem mroku osiągnąć miasto Kamień Koszyrski. Posuwaliśmy się teraz na północny wschód. W planie następnego etapu było miasto Kowel, ale obecnie sprawa powikłała się zupełnie. Zmieniliśmy więc trasę i przez Ratno, Kamień Koszyrski, Lubiąż, Janów Poleski zamierzaliśmy dotrzeć do Berezki Kartuskiej. Tym razem koledzy ulegli moim argumentom. Zapewniłem ich o bezpiecznym schronieniu u mego dziadka Kazimierza Towpika.

Pogoda była nadal piękna, dni niesamowicie upalne, noce parne. Ciszę jesiennych dni i nocy mąciły bez ustanku głucho jęki nieprzyjacielskich samolotów lub dudnienie salw armatnich. I tak w swej wędrówce mijaliśmy

wioski i chutory z ich wylęknionymi mieszkańcami, aż pod wieczór przybyliśmy do miasta powiatowego Kamienia Koszyrskiego. Już na przedmieściu zwróciły naszą uwagę oświetlone okna domów, a obok nich gromady ludzi głośno dyskutujących. Coś musiało się stać nadzwyczajnego. Wszędy poruszenie i zgietk. Kruczek jadąc na czele przystanął nagle i wdał się w rozmowę z jednym z mieszkańców. Otoczyliśmy go kołem i z ciekawością łowimy każde wypowiedziane słowo. To co usłyszeliśmy jest tak oszałamiające, że nie można było pojąć ogromu następujących wydarzeń. Ów nieznajomy opowiadał nam, że wojna skończona. Anglicy i Francuzi wkroczyli do Niemiec, Hitler z rozpaczyny powiesił się... Słuchaliśmy tych wiadomości z wielkim przejęciem i mimo woli dawaliśmy temu wiarę. Jakże miało być inaczej? O tym szumiało całe miasto. Odetchnęliśmy z ulgą. A więc nareszcie koniec wojny i kres naszej beznadziejnej tułaczki. Pod wpływem doznanych silnych wrażeń nie czuliśmy zmęczenia po wędrówce minionego dnia.

Prowadząc rowery podążamy dalej i wkrótce stanęliśmy na rynku w śródmieściu. Tutaj wrzało jak w ulu, mimo późnej godziny nikt chyba nie siedział w mieszkaniu tego wieczoru. Z kolei Ponikowski zatrzymał przygodnego żołnierza i zaczął wypytywać go o bliższe szczegóły tak niesamowitego wydarzenia. Żołnierz mówił to samo co i jego poprzednik, dodał jeszcze, iż jego dowódca kazał mu wracać do domu na własną rękę, po uprzednim złożeniu broni w miejscowym P.K.U. Przy tym zwierzył się, że pochodzi z okolic Baranowicz i jutro odjeżdża do domu. Marian podziękował za informacje i poszliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się przed wyniosłym gmachem Starostwa Powiatowego.

Przed Starostwem uformowała się długa kolejka ludzi i powoli przesuwała się do głównych drzwi urzędu. Wychodzący pokazywali jakieś papiery, były to przepustki na przejazd koleją. Teraz nie ulegało żadnej wątpliwości, że wszyscy mówili prawdę. Ogarnęło nas przyjemne uczucie, oby jak najszybciej wracać do domów rodzinnych. To były nasze najgorętsze pragnienia. A więc już jutro z rana będziemy w drodze powrotnej do Białej Podlaskiej. Myśl o tym jak balsam pokrzepiała nasze serca. Czy tylko zastaniemy tam wszystkich w zdrowiu i żywych? Zanocowaliśmy w sieni życzliwego obywatela miasta. Tego dnia komunikaty niemieckie donosiły, że Warszawa uparcie się broni i że wznowiono działania wojenne pod Warszawą, dokonano ataków lotniczych, nie były one potrzebne na froncie wschodnim.

20 września. Wczesnym rankiem ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Minęliśmy Szack, Ratno i nie zatrzymując się ani na chwilę pędzimy dalej.

Okolo godziny 3-ej po południu dotarliśmy do szosy kowelskiej i na skraju lasu rozłożyliśmy się obozem. Należało wypocząć, zaczerpnąć sił i posilić się, gdyż od rana nie mieliśmy nic w ustach.

Zająłem się przygotowaniem obiadu. Od gosposi pożyczyłem duży garnek, dostałem trochę ziemniaków i włoszczyzny. Wielgo starannie obierał ziemniaki, a Ponikowski szybko zmontował z cegieł kuchenkę polową. Wnet zapłonął wesoło ogień, podsycany żywicznymi szyszkami, a dym ścielił się długą smugą pod lasem.

Już bez obawy przed wrogiem lotnikiem gotowałem pożywienie. Obiad składał się z dwóch dań: zupa kartoflanka na kawałku boczku i kasza gryczana na tłustych skwarkach. Obiad smakował wszystkim znakomicie. Po obiedzie jak zwykle zapaliliśmy papierosy z machorki, skręcone w papier gazetowy, ponieważ zapas posiadanej bibułki wyczerpał się, i ułożyliśmy się na trawie na poobiednią drzemkę, lecz na krótko. Czas ponaglał do podróży. Myśl o rodzinie nie opuszczała nas ani na chwilę, a dom był jeszcze bardzo daleko.

Na komendę Kruczka poderwaliśmy się z murawy, wsiedliśmy na rowery i ruszyliśmy niebawem w drogę. W miarę posuwania się w kierunku Brześcia, szosa kowelska stawiała się coraz trudniejsza do szybkiej jazdy. Zatłoczona była ludźmi powracającymi podobnie jak i my ze swej tułaczki. Jedni jechali furmankami, inni samochodami ciężarowymi i osobowymi, motocyklami, rowerami, a inni szli pieszo. W jednym tylko dniu przejechaliśmy trasę ponad 85 km. Tak długiej drogi nie przejechaliśmy jeszcze od początku naszej wędrówki. W powodzi wracających spotykamy wielu znajomych z Białej Podlaskiej i z powiatu. Na nie ogolonych twarzach widać było u każdego zmęczenie i trudy przebytej podróży. Niektórzy mieli za sobą setki przejechanych kilometrów, byli nawet pod węgierską granicą, mieli zatem więcej do powiedzenia. Częstowali nas sucharami wojskowymi.

Dowiedzieliśmy się od nich wiele ciekawych, a zarazem strasznych rzeczy. Oto w czasie odwrotu żołnierzy, niejednokrotnie opuszczonych przez swoich dowódców, pozostała masa broni porzuconej. Z pozostawionej broni skorzystały szumowiny i męty społeczne. Rychło potworzyły się bandy rabunkowe, które bez skrupułów plądrowały majątki osadników kresowych, napadały na policjantów, strażników więziennych i mordowały ich bezlitośnie.

Porachunki osobiste i samosądy były na porządku dziennym. Głęboko byliśmy przejęci tymi opowiadaniem.

W czasie dalszej jazdy napotykalismy spalone lub porzucone samochody różnych firm i instytucji. Nieprzyjemna, mdława woń rozkładających się trupów konńskich towarzyszyła nam w ciągu dalszej jazdy. Upał się wzmagał, odczuwalismy wielkie pragnienie, lecz w żadnej napotkanej studni nie było już ani kropli wody. Piliśmy więc wodę z rzeki lub napotkanej sadzawki. Po ujechaniu 20 kilometrów zator na szosie stał się tak wielki, że nie sposób było jechać dalej. Po krótkim czasie lawina ludzi i pojazdów zatrzymała się. Poruszanie się naprzód stało się możliwe tylko rowami przydrożnymi.

Postanowiliśmy trochę odsapnąć, przeto oddaliliśmy się od szosy o kilkadziesiąt metrów i usiedliśmy na łące w pobliżu ogrodów warzywnych. Nie bardzo smakował nam posiłek składający się z marchwi i kawałka chleba. Zapasy nasze były już na wyczerpaniu, a po drodze od tamtejszych mieszkańców, nawet za pieniądze niczego nie można było kupić. Na czarną godzinę każdy z nas miał jeszcze po pół kilograma cukru w kostkach.

Upłynęło może pół godziny, gdy nagle na szosie powstał tumult i wrzask. Ludzie na jezdni rozstępowali się na boki na skutek przerywanego sygnału klaksonu. Czarna limuzyna z trudem przeciskała się w odwrotnym kierunku do płynącej fali ludzkiej. Pojechała kilkadziesiąt metrów i ugrzęzła w tłumie. Pobieglismy w tym kierunku i oto taki obrazek przedstawił się naszym oczom. Jakiś łysawy pan, około lat czterdziestu, wysiadł z limuzyny, na lewym ramieniu miał białą opaskę. Przy pomocy kierowcy wgramolił się na maskę samochodu i dawał znać ręką, aby tłum się uciszył. Kiedy uspokoiło się nieco, mężczyzna ów zaczął głośno przemawiać. Treść tego przemówienia była w przybliżeniu taka:

- "W wyniku niepomyślnych dla nas działań wojennych przegralismy wojnę z Niemcami. W pełnym zrozumieniu tego faktu nie należy dopuścić do dalszego bezcelowego rozlewu krwi. Trzeba zachować spokój i porządek. Każdy może spokojnie wracać do swych domów. Rozproszone oddziały wojskowe, policja i ci wszyscy, którzy posiadają broń, winni ją złożyć przed żołnierzami Wehrmachtu. Jakiegokolwiek nierozsądne kroki mogą spowodować tragiczne następstwa. Apeluję o spokój, rozważę...".

Wsiadł do samochodu, zawarczał motor i powoli auto odjechało, aż znikło w lawinie ludzkiej.

W milczeniu wróciliśmy na swoją polankę. Kruczek nie wytrzymał dłużej i wrzasnął nieludzkim głosem:

- "Co to ma wszystko znaczyć? Anglicy i Francuzi w Niemczech, Hitler powiesił się, a wojska niemieckie tutaj?" Chwycił głowę obiema rękami

i mruczał jakiś czas do siebie, a potem rozpaczliwie wyksztusił: - "No panowie, palnę sobie w łeb i koniec". Dobył pistoletu z kabury. Na ten widok Ponikowski i Wyrzykowski natychmiast podskoczyli do niego i zaczęli go uspokajać. Był bardzo zmieniony na twarzy. Dopiero na wspomnienie żony i małych dzieci opanował się i schował pistolet.

Dłuższy czas siedzieliśmy skuleni i tylko raz po raz ktoś westchnął głęboko. Z tego odrętwienia poderwał nas strzał karabinowy na szosie. Wśród tłumów powstało zamieszanie i popłoch, ludzie zaczęli uciekać w różne strony na oślep. Zerwaliśmy się również na nogi i pędem pobiegliśmy w kierunku lasu, na przełaj przez łąkę. Stanęliśmy dopiero w gęstwinie. Dalszych strzałów nie było, tylko z dala dochodził nas gwar ludzi.

Zbliżał się wieczór. Długo naradzaliśmy się, jaką drogą wracać do domu. Kruczek twierdził, że najlepiej posuwać się drogami bocznymi, aby nie wpaść w ręce Niemców. Zaczęliśmy go uspokajać, żeby nie robił większej paniki i spokojnie rozważymy sprawę powrotu. Włączyłem się do rozmowy i próbowałem przekonać wszystkich, że koniecznie trzeba gdzieś w pobliżu przenoćować i zaczekać do jutra, aż szosa stanie się wolna. Jechać należało tylko szosą, gdyż na bocznych drogach jest niebezpiecznie z uwagi na okoliczność, iż znajdujemy się na terenie zamieszkałym w przeważającej liczbie przez Ukraińców. Przypominałem o niedawnej rozmowie ze znajomymi o mordach i okrucieństwach band ukraińskich na ludności polskiej. Wyraziłem gotowość wyjścia na szosę kowelską, aby zbadać jeszcze raz sytuację. Poszedłem w towarzystwie szwagra Waclawa. Tuż przy rowie spotkaliśmy przypadkowo Władysława Strzałka, listonosza z Białej Podlaskiej. Rozpoczęliśmy pogawędkę. W chaotycznym opowiadaniu chciałem podzielić się z nim własnymi przeżyciami z ostatnich tygodni. Strzałek był stanowczo zdania, aby przeczekać, aż droga stanie się wolniejsza i wracać do domu tylko szosą. Wróciliśmy do swoich towarzyszy, a ponieważ zaczęło się ściemniać ruszyliśmy na poszukiwanie bezpiecznego noclegu. Wkrótce na łące pod samym lasem natrafiliśmy na stóg siana i przy nim ułożyliśmy się do snu. Jeden z nas na zmianę pełnił wartę z pistoletem w dłoni. Jednakże długo nie mogliśmy zasnąć. Zbyt wiele przeżyliśmy wstrząsów w ostatnim dniu naszej wędrówki.

Niemiecka główna kwatera tego dnia informowała o toczącej się bitwie pod Kutnem, o obronie Warszawy i Modlina oraz o wycofywaniu Niemców na ustaloną z rządem sowieckim linię demarkacyjną.

21 września. Dzień zapowiadał się pogodny, mgła szybko ustąpiła. Dla nas jednakże dzień ten nie był przyjemny. Już od samego rana zaczęły się

znowu spory na temat dalszej trasy powrotnej. Była to pierwsza kłótnia w czasie naszej wędrówki. Jedni byli zdania, aby wracać natychmiast, lecz inną drogą. Tak usiłował przekonać nas Kruczek i Poniowski, pozostali zaś, do których ja należałem, proponowali poczekać jeden dzień i wracać jedynie szosą. W rezultacie podzieliliśmy się na dwie grupy, z których każda miała wracać do domu inną drogą. Dziesięć dni znosiliśmy trudy i niewygody tułaczki, żyliśmy się ze sobą serdecznie, lecz nie wytrwaliśmy do końca. Pożegnanie odbyło się po przyjacielsku z łezką w oku. Zobowiązaliśmy się słowem honoru, że ta grupa, która pierwsza dotrze szczęśliwie do Białej Podlaskiej, natychmiast powiadomi nasze rodziny o bliskim powrocie do domów.

Ja ze szwagrem Wackiem pozostałem na miejscu. W napotkanym za lasem chutorze spędziliśmy dzień u chłopca białoruskiego na pogawędce, u niego też zanocowaliśmy. Po raz pierwszy od dziesięciu dni spaliśmy rozebrani w łóżku. Wieczorem zrobiliśmy kąpiel.

Komunikaty niemieckiej kwatery głównej wtedy donosiły o zdobyczach Niemców, o liczbie polskich jeńców i trwających walkach w Warszawie, Modlinie i pod Górą Kalwarią.

22 września. O godzinie 9-tej rano pożegnaliśmy gościnnego gospodarza i ruszyliśmy szosą kowelską w kierunku Brześcia. Droga była prawie zupełnie wolna, tylko od czasu do czasu minęło nas jakieś auto lub samochód ciężarowy z powracającymi uciekinierami. Po przeszło dwugodzinnej jeździe przybyliśmy na przedmieście miasta Brześcia n/Bugiem, tzw. Wołynkę. Większość domów była przystrojona w czerwone flagi. W witrynach sklepów żydowskich widniały portrety Lenina i Stalina owinięte w czerwoną bibułę.

Wzniesiono także bramę powitalną i ozdobiono ją zielenią świerków i różnymi kwiatami. Po środku na czerwonym płótnie wypisano dużymi rosyjskimi literami: "Da zdrastwujet Krasnaja Armia. Niech żyje Armia Czerwona". Dzieci z naręczami kwiatów oczekiwały już na przybycie pierwszych patroli Armii Czerwonej, zbliżającej się do bram Brześcia od strony wschodniej.

W Brześciu zatrzymaliśmy się na krótki wypoczynek, po czym przez twierdzę skierowaliśmy się na Terespol. W twierdzy kupiliśmy od chłopca dwie duże puszki ogórków marynowanych, niewątpliwie pochodzących z rozszabrowania magazynów wojskowych. W Terespolu odwiedziłem dawną koleżankę szkolną Helenę Bednarzakównę i pozostałem u niej nieco dłużej, Wielgo natomiast nie czekał na mnie i sam pojechał dalej do Białej

Podlaskiej. Helenka w pierwszym momencie nie mogła mnie poznać. Zakurzony byłem od stóp do głowy, przy tym nie goliłem się ponad dwanaście dni. Przyjęła mnie bardzo serdecznie, częstując herbatą i wojskowymi sucharami. Opowiedziałem jej swoje przygody w czasie nieszczęsnej tułaczki. Czas szybko upływał na miłej pogawędce i śpieszno mi było ruszać dalej. Od domu dzieliła mnie odległość 38 kilometrów.

Jechałem bez przeszkód i po trzech godzinach z wielkim napięciem wjechałem do Białej Podlaskiej. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegłem żadnych zmian, nie zauważyłem zniszczeń wojennych. To mnie najbardziej ucieszyło i utwierdziło w przekonaniu, że tutaj nie było działań wojennych o większym znaczeniu. Z ul. Brzeskiej obok "czerwonych koszar" zjechałem na ścieżkę przy kolejce wąskotorowej i gnałem do domu. Koło stacji również nie zauważyłem ani zniszczeń, ani ruin, oprócz znanych mi - zbombardowanej fabryki samolotów. Na ul. Dreszera wszystko stało na swoim miejscu. Na podwórzu rzuciłem rower i jak bomba wpadłem do mieszkania. Radosne i pełne wzruszenia było przywitanie się z rodzicami i z rodzeństwem, łyzy radości i szczęścia posypały się jak groch po policzkach. Oprócz brata Stefana i szwagra Golenia wszyscy byli na miejscu żywi i zdrowi, nie naruszony został dom. Do późna w nocy opowiadałem rodzinie swoje przygody z wędrówki za Bug.

Niemcy natomiast nadawali w komunikacie, że pod Kałuszynem zdobyli nieprzyjacielski pociąg pancerny, że udaremniono próby polskich ataków z Pragi, że 178 członków korpusu dyplomatycznego i 1200 obcokrajowców opuściło Warszawę i zostali skierowani do Królewca.

23 września. Cały dzień niemal spędziłem na opowiadaniu szczegółów z wędrówki rodzinie i sąsiadom. W tym czasie w sadzie objadałem się różnego rodzaju owocem i spałem godzinami. Siostra Lodzia z utęsknieniem oczekiwała na swego męża, stale się dopytując każdego powracającego z podróży za Bug. Od Stefana nie mamy żadnej wiadomości i nie wiemy, gdzie walczył i czy w ogóle żyje. Od Wacka dowiedziałem się, że moi współtowarzysze niedoli już powrócili do swych domów.

Niemcy zajęli Lwów i przekazali go sowietom. Donosili, iż 21 września w lasach nad Bzurą został wzięty do niewoli generał Bortnowski.

24 września. Przed południem odwiedziłem swego księdza proboszcza Piotra Denejkę, z którym podzieliłem się wrażeniami z tułaczki, a potem złożyłem wizytę księdzu wikariuszowi Pietkiewiczowi. Do wieczora byłem gościnnie i serdecznie przyjmowany przez siostrę księdza i obie siostrzenice

Dziunię i Marylę. Cała rodzina przebywała jakiś czas na wiosce w Ortelu Książęcym.

Po powrocie do domu matka mnie skarciła, iż ona nie zdążyła się jeszcze na mnie napatrzyć, a ja już wyrrywam się z domu. Nic nie wiemy co słysać w świecie, radio nieczynne, a żadnych gazet jeszcze nie ma. Krążą nadal różnego rodzaju plotki, niczym nie potwierdzone.

Niemieckie komunikaty kończą się przechwałkami, że kampania w Polsce została zakończona, beznadziejne punkty oporu są tylko w Warszawie, Modlinie i na Helu.

25 września. Byłem dzisiaj w mieście. Ludzi mało spotyka się na ulicach. Urzędy nieczynne. Sklepy zamknięte. Nastroj niepewny. Żadnego wojska nie ma. Jednak słyszy się tu i ówdzie, że niedługo wejdą do Białej wojska sowieckie... Ile w tym jest prawdy, na razie nie wiadomo. Do domu wróciłem wcześniej i pomogłem zrywać śliwki. Po zachodzie słońca poszedłem spać, jeszcze nie mogąc powetować straconych nocy.

Pierwszy fragment kroniki zmarłego w 1990 roku Antoniego Kutnika, "W hitlerowskim jarzmie. Moje wspomnienia", wydanie II uzupełnione, Biała Podlaska 1965, maszynopis powielany, s. 7-67. Za pozwoleniem syna Bogusława Kutnika teksty wybrał i do wydania drukiem przygotował Jerzy Cygan, OFMCap. O historycznej wartości wspomnień Autora, mieszkańca Białej Podlaskiej, por. Jerzy Sroka, "Współcześni kronikarze. Opowieści z Podlasia", Wrocławski Tygodnik Katolików 1966 nr 37, s. 6 oraz "Słowo Podlasia" 1987 nr 20 (369), s. 7 (inna redakcja).

O NEPLACH NAD BUGIEM

Nepłe, nadbużańska wioska leżąca przy ujściu Krzny do Bugu, słynie głównie z uroczego położenia i unikalnych walorów przyrodniczych okolicy. Mniej znana jest historia tej miejscowości, która jest nie mniej atrakcyjna i ciekawa. Cały szereg zabytków, pamiątek i przekazów historycznych świadczy o tym, że osadnictwo i zagospodarowanie tych ziem rozpoczęło się bardzo wcześnie. Przypnieć trzeba, że musiało to mieć również ścisły związek z powstaniem, a następnie rozwojem starego średniowiecznego grodu, jakim był Brześć.

Skąd pochodzi nazwa Nepłe trudno dociec. Krążyły niegdyś pogłoski, że wzięła się ona z języka francuskiego od słów *my - ple*, co znaczy - "mnie się podoba". Słowa te miała jakoby wyrzec jakaś guwernantka z nepelskiego dworu, a lud prosty przekręcił je na Nepłe. Nie jest to jednak możliwe, gdyż *moda na francuszczyznę* przywędrowała do Polski dopiero w wieku XVII, nazwa zaś miejscowości jest o wiele starsza.

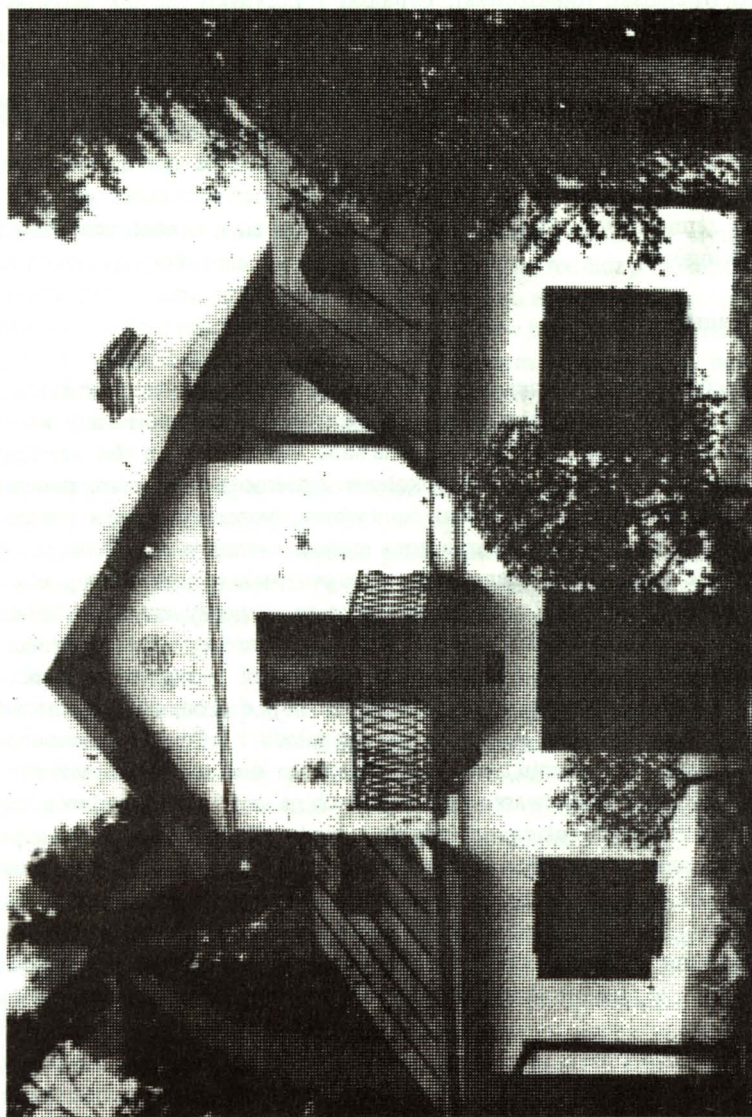
Bardziej przekonujące są wywody księdza unickiego Szymańskiego - Dobrowolskiego, który podczas pobytu w parafii piszczałckiej (w okresie okupacji niemieckiej) stwierdził: "W okresie panowania księcia kijowskiego Jarosława Wielkiego doszło do wojny z Lachami, pokonawszy ich Jarosław zabrał z terenów nadbużańskich dużo jeńców, których osadził następnie w pobliżu Kijowa. Na zdobytych terytoriach osadzał on ludność rusińską, która nadawała dla swoich osad nazwy, do których była przywiązana, np. Kijowiec - od Kijowa. Nazwa Nepłe pochodzi prawdopodobnie od słowa *nepliwi* - to jest "nie płyn!", gdyż dalej jest granica, a za nią Lachy lub Rusy." I Bug rzeczywiście był "granicą", oddzielającą dwie wsie o nazwie Nepłe (polskie i ruskie). A tych Rusinów to Jarosław Wielki musiał chyba sprowadzić dość sporo. Świadczą o tym nazwiska wielu mieszkańców Nepli, takich chociażby, które mają końcówkę - *luk* (Kowaluk, Szabluk, Wasyluk), - *niuk* (Marciniuk, Romaniuk, Semeniuk), - *szuk* (Kaliszuk, Łukaszuk, Wawryszuk). Są też nazwiska czysto polskie, o końcówkach - *ski* (Andrzejewski, Bojarski,

Dyczkowski, Chochowski, Figarski, Jaworski, Kowalski, Kucharski, Kurowski, Michalski, Tomaszewski, Urbański i Żuryński). Są też nazwiska pochodzenia litewskiego, o końcówce - icz (Donderowicz, Chomicz, Matusiewicz, Wakulewicz), po jednym pochodzenia niemieckiego (Baum) i prawdopodobnie siedmiogrodzkiego (Besaraba). Ta mieszanina nazwisk świadczy wyraźnie, że przez wiele wieków na tym terenie następowało mieszanie się ludności, mającej różnorodne pochodzenie narodowościowe. Z pewnością znajduje się w tych mieszkańcach również domieszka krwi pierwotnie zamieszkujących tutaj Bużan, a być może i łupieżczych dzikich Jądzwingów.

"Kamienna baba"

Jednym z najbardziej wiarygodnych dowodów na to, że historia Nepli i osadnictwa na tym terenie sięga wczesnych wieków, jest stary krzyż kamienny, nazywany niegdyś kamienną babą. Owiany jest on również legendą, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Zgodnie z przekazem, pewna dziewczyna zakochała się w młodzieńcu i wbrew życzeniu rodziców postanowiła wyjść za niego za mąż. Zrozpaczona matka, ze łzami w oczach błagała ją, by tego nie czyniła. Zakochana dziewczyna pozostała jednak zimna i nie wzruszona łzami matki. Rozgniewana matka w rozpaczcy zawołała "Bodajbyś skamieniała nim dojedziesz do kościoła". I tak rzeczywiście stało się. Gdy orszak weselny jechał do kościoła, pannie młodej po trzykroć wypadła chusteczka z ręki. Za pierwszym razem podniósł ją drużba, za drugim druchna, za trzecim schyliła się po nią sama panna młoda i wówczas przemieniła się w kamień. Na kamieniu tym - jakoby - jeszcze do I wojny światowej miały znajdować się ślady twarzy i zawieszonych na szyi koralików. Zgodnie z legendą kamień z każdym rokiem pochyła się, a kiedy zwali się, zakończy się pokuta nieszczęsnej dziewczyny. Nepelski nauczyciel Antoni Miśka opowiadał mi w 1971 r., że jego uczennice kiedy dowiedziały się o legendzie, pobiegły w to miejsce i twierdziły później, że była jeszcze ciepła. No cóż, lato było dość gorące tego roku. Podobno też, kiedy w lesie Górki mocno przycisnęły ucho do ziemi, to niektóre słyszały głos dzwonów zapadniętej tam przed wiekami cerkwi.

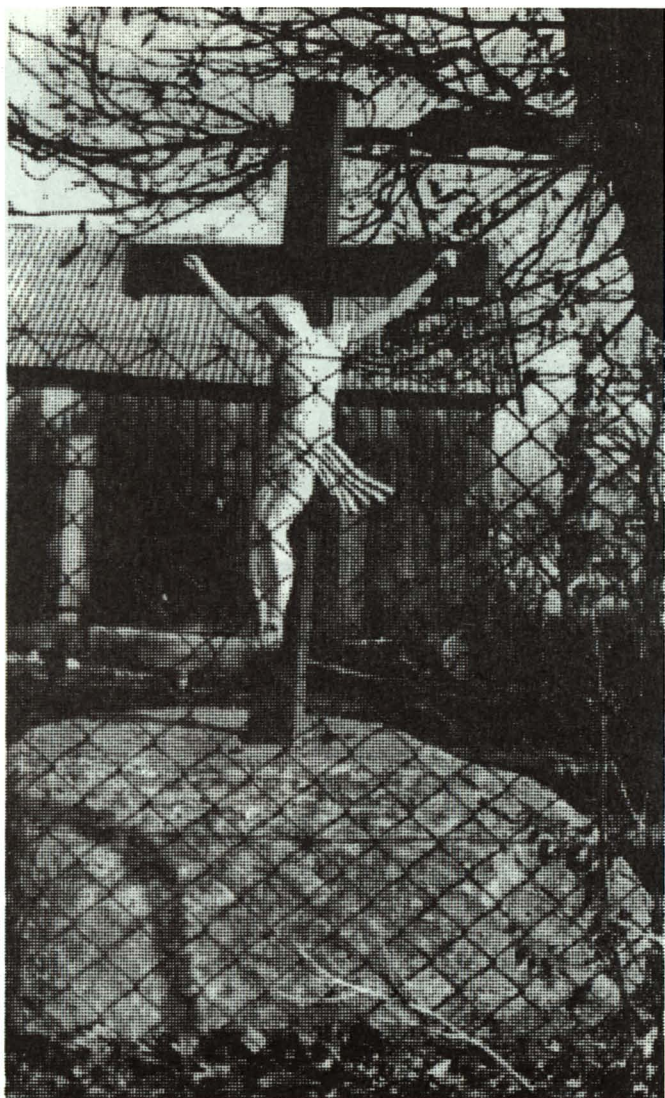
Prawdziwą sensacją stała się "kamienna baba" dopiero w 1980 r., kiedy w kilku gazetach zamieszczono różnej wielkości artykuły na ten temat. Wkrótce też pojawił się w Neplach kierownik Pracowni Pogotowia



"Biwak" zbudowany dla cara Aleksandra I Fot. 1910 r. Ze zbiorów ks. Z. Oziemby



Kościół w Neplach z 1769 r. Fundacja Franciszka i Anny Niemcewiczów. Fot. 1956 r. Ze zbiorów ks. Z. Oziembły



Krzyż "na kamieniu", wystawiony w miejscu, gdzie spadł z konia
Juliusz Mierzejewski Fot. 1980 r. Ze zbiorów ks. Z. Oziemby

Archeologicznego, funkcjonującego przy Warszawskim Muzeum Archeologicznym - starszy kustosz Jerzy Głosik. Stwierdził on, że na terenie Polski odnaleziono dotychczas niewiele ponad 20 kamiennych posągów tego rodzaju.

Wielokrotnie rozmawiałem z miejscowymi ludźmi nt. tej tajemniczej figury. Pewnego razu zauważyłem, że przejeżdżający tędy rolnik zdjął czapkę i pokłonił się, a na moje pytanie dlaczego to uczynił, odpowiedział: "przecież jest to miejscowa świętość". Inny rolnik opowiedział o pewnym wydarzeniu, jakie miało miejsce pod tą figurą. Otóż miejscowy kłusownik doszedł kiedyś do wniosku, że wokół niej powinny być zakopane skarby. I rzeczywiście zaczął dość intensywnie kopać. Skarbów nie znalazł, ale jakby za karę, któreś nocy w sposób przypadkowy odpaliła jego strzelba, kładąc go trupem na miejscu. Opisała to w "Zielonym Sztandarze" Zuzanna Śliwa (1980 r., 26 nr).

Z miejscem tym związane jest jeszcze jedno, autentyczne wydarzenie. W latach 80-tych wybierał w tym miejscu piach na budowę Henryk Bojczuk z Nepli. Podczas kopania wydobył on płaski kamień wielkości dłoni (podobno z jednej strony wypukły), który miał wryty znak krzyża. Kamień ten został przekazany - spędzającej tutaj wczasy - pisarce Ewie Nowackiej. Ona przekazała kamień do zbadania jakiemuś specjalście, który pomimo wielu prób znaleziska nie zwrócił. Można przypuszczać, że docenił on wagę i znaczenie tego co "zдобыл".

Wspomniany wyżej dr Jerzy Głosik z Warszawy "babę" opisał w sposób następujący: "Widać tu wyraźnie ślady ludzkiej działalności: ostre kanty, biegnące od ramienia figury w dół, zrobione zostały prawdopodobnie później - w XVIII lub XIX wieku. Ślady zniszczenia samego głazu świadczą o jego historii, sięgającej daleko przed czasy średniowiecza. Jest on z całą pewnością bardzo interesującym obiektem, wzbogacającym naszą wiedzę ojeszcze - być może - przedchrześcijańskich obrzędach oraz losach bóstw słowiańskich po nadejściu chrześcijaństwa". Dr Smolikowska, kiedy rejestrowała zabytki w parafii Neple, orzekła, że "kamienna baba" jest krzyżem wyciosanym niewprawną ręką człowieka z XV lub nawet wcześniejszych stuleci. W tych czasach nie było jeszcze tutaj świątyni, a wiara chrześcijańska już zapuszczała swoje korzenie. Przypuszczam, że twierdzenie to jest jak najbardziej słuszne. Pierwsza w tych stronach parafia katolicka pojawiła się w 1464 roku. Znajdowała się ona w pobliskiej Malowej Górze (p.w. Przemienienia Pańskiego), która w tym czasie była we władaniu rodziny Szczyttów.

Kościół

Na podstawie przekazów źródłowych można z całą pewnością stwierdzić, że już od 1686 r. istniała w Neplach drewniana cerkiew unicka. Erygował ją niejaki Adam Skoszewski. Obecny kościół murowany, pod wezwaniem Podwyższenia św. Krzyża, został ufundowany w 1769 roku przez ówczesnych dziedziców Nepli - Franciszka Ursyna Niemcewicza i Annę z Korotyńskich. W podziemiach tegoż kościoła zostali oni również pochowani. W 1873 r. zaborcze władze rosyjskie odebrały kościół katolikom, przekształcając go w cerkiew prawosławną. Stan taki trwał aż do I wojny światowej. W 1915 roku, wraz z wycofującymi się wojskami rosyjskimi, opuścił Neple prawosławny duchowny Jewgienij Malerow oraz wielu jego parafian. Pomimo zakończenia działań wojennych nie wrócili oni do swojej parafii.

Kościół podczas wojny uległ pewnym zniszczeniom - uszkodzony został fronton świątyni oraz dach. W dniu 1 czerwca 1919 r. w oparciu o reskrypt Biskupa Ordynariusza Henryka Przeździeckiego następuje poświęcenie świątyni, która przekształcona zostaje w kościół katolicki. Dokonuje tego ks. Leon Kalinowski, ówczesny proboszcz z Małowej Góry. W 1920 r. kościół zostaje poddany dość gruntownej restauracji, zarówno wewnątrz, jak i z zewnątrz. Szczyt frontu kościoła (zwalony w okresie działań wojennych) został zamurowany, dach pokryty grubą blachą karbowaną oraz oszklone wszystkie okna.

Pierwszym proboszczem odtworzonej parafii w Neplach został w sierpniu 1921 r. ks. Jan Nojszewski (ur. 21.V. 1893 r.). Od 1955 roku był tutaj ks. Zdzisław Oziębło. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat wykonano w kościele następujące prace: dobudowa chóru (1957 r.), założenie organów (1958), pokrycie kościoła terakotą (1959), założenie instalacji elektrycznej (1967 r.), malowanie i złocenie ołtarzy oraz organów (1969). W 1991 r. wykonano jedno z największych i najkosztowniejszych przedsięwzięć: ułożenie nowego drewnianego dachu oraz pokrycie go blachą miedzianą. Koszt inwestycji zamknął się sumą około 180 mln. zł. Całość prac wykonał w sposób wręcz wzorowy - Kazimierz Górnicki z Terespoła. Od 1925 roku znajdują się w kościele relikwie w postaci maleńkiej części krzyża św., o które wystarała się była dziedziczka Nepli Zofia Dymaszowa. Była ona córką znakomitego inżyniera Stanisława Kierbedzia, a także wdową po prof. Uniwersytetu Petersburskiego Lubomirze Dymszy, pośle do III i IV Dumy, znanym obrońcy wiary katolickiej i sprawy narodowej.

Skarbiec

Przy wejściu do nepelskiego parku, od strony szosy, stoi bardzo stary, stylowy budynek. Miejscowi ludzie nazywają go skarbcem. Był prezes Gminnej Spółdzielni p. Bartoszewski oświadczył, że odczytał kiedyś rok jego wybudowana - 1786. Taką też datę kazał umieścić na frontonie remontowanego obiektu. Kiedyś budynek ten być może i wypełniał funkcję skarbcza, na pewno jednak w okresie "władztwa" Gminnej Spółdzielni był miejscem produkcji oranżady i wody sodowej, a także magazynem sklepu spożywczego.

Prawdopodobnie tym, który zlecił jego wybudowanie był Franciszek Ursyn Niemcewicz, ówczesny dziedzic tutejszych włości.

"Biwak"

Taką nazwę nosi dom, zbudowany około 1820 roku przez dziedzica Kaliksta Mierzejewskiego, dla podejmowania w nim cara Rosji Aleksandra I. Bawił on tutaj kilkakrotnie w latach 1817-1825. Nad frontowymi drzwiami "biwaku", jeszcze przed I wojną światową, znajdowały się 2 tablice z następującymi napisami w języku francuskim:

"Biwak Jego Cesarskiej Mości Aleksandra I"

"Szczęśliwy biwaku, pod twoim sklepionym dachem spoczywał cesarz Aleksander I, któremu Europa zawdzięcza pokój a Polska swoje istnienie". Uzyskałem informację od Jana Ostapczuka, że po lewej stronie pokoju (na parterze) wisiał duży portret cara. Przyjeżdżał tutaj cesarz głównie dla pięknej Julii z Orzeszków, która była żoną Kaliksta Mierzejewskiego. Biwak służył im jako ustronne miejsce spotkań, których efektem - prawdopodobnie - okazały się narodziny kolejno dwóch synów uroczej dziedziczki. Młodszy Cezar Aleksander - urodził się 27 sierpnia 1823 r. w Neplach, starszy - Juliusz August - urodził się 6 listopada 1817 roku. Obaj niestety nie żyli długo, starszy z nich zmarł w wieku 11 lat, natomiast młodszy w wieku 3 lat. Obaj zostali pochowani w Neplach. Akta ich dotyczące znajdują się w dokumentacji parafialnej kościoła w Malowej Górze. Jak informuje wmurowana w kaplicę zamkową tablica, car Aleksander I był ojcem chrzestnym starszego syna Mierzejewskich.

Podczas remontu pałacu w Neplach (około 1910 r.) służący znalazł pod podłogą dużego salonu kilka paczek listów miłosnych, które były pisane przez cara do Julii Mierzejewskiej.

Kaplica

Architektem kaplicy parkowej, podobnie zresztą jak i nie istniejącego już pałacu Mierzejewskich, był Franciszek Jaszczołd, pochodzący z pobliskich Kobylan. Kaplica pod wezwaniem św. Juliusza (papieża męczennika z III w.) jest wybudowana w pięknym stylu neogotyckim. Postawił ją w 1829 r. swojemu przedwcześnie zmarłemu synowi Kalikst Mierzejewski. Sam też spoczął w 1854 r. obok niego. Prochy ich przechowywane są tam do dziś.

O tragedii syna i jego rodziców - Kaliksta i Julii Mierzejewskich - mówi tablica kamienna, umieszczona w tylnej części świątyni:

"Juliuszowi Augustowi Urodzonemu na D 6 listopada godz. 10 w wieczór 1817 R w Neplach którym Chrzesnym Ojcem był Aleksander Cesarz Rosijski Król Polski na D 27 kwietnia 1825. Zmarłemu na D 12 listopada 1828 R po 35 dniowej chorobie w Terespolu. Przeżył zatem lat 11 D 6 godz. 9 Rodzice Kaliksat i Julia z Orzeszków Mierzejewscy Kochanemu Dziecięcu swojemu Cnotliwemu Chłopczynje Przykładnym i Dobrymu. Na wieczną pamiątkę żalu swego po Nim Kamień ten stawiają. Kto był Ojcem i Matką a stracił ostatniego syna pojmie ich smutek".

Fronton kaplicy był uszkodzony podczas ostatniej wojny światowej. Przed całkowitym zniszczeniem zabezpieczył kaplicę długoletni proboszcz tej parafii, autor niniejszego artykułu. Budynek świątyni wymaga jednak kompleksowego remontu, zarówno wewnętrznego jak i zewnętrznego.

Krzyż

W Neplach, na podwórzu Jana Sobolewskiego, znajduje się duży żelazny krzyż, umieszczony na olbrzymim głazie. W tym to właśnie miejscu spadł z konia jedenastoletni August, syn Kaliksta i Julii Mierzejewskich. Po 35 dniach leczenia, zmarł on 12 XI 1828 r. w pobliskim Terespolu. Głaz został sprowadzony przez Kaliksta Mierzejewskiego aż z dalekiego Wołynia. Krzyż został prawdopodobnie postawiony w tym samym czasie co kaplica zamkowa, tzn. w 1829 r.

Inne zabytki

Niestety, nie zachował się wspniany pałac Mierzejewskich, wybudowany przez Kaliksta około 1820 r. Pozostało po nim trochę dołów i nieco gruzu.

Spłonął on w 1854 r. Na początku XX wieku został odbudowany i odrestaurowany przez ówczesnego właściciela, profesora Petersburskiego Uniwersytetu, Lubomira Dymszę.

W okresie I wojny światowej, kiedy wojska rosyjskie wycofywały się przed armią niemiecką (sierpień 1915 r.), pałac został przez Rosjan spalony. Wiele okolicznych wsi zostało również wtedy barbarzyńsko zniszczonych - głównie z powodu podpałen. Kiedy właściciel pałacu dowiedział się o tym, załapał i zmarł na rękach wiernego lokaja Konstantego Drapuna (w Petersburgu). Relacjonował on o tym w 1955 r. Twierdził, że pan jego mógł umrzeć z dwóch powodów: zawału lub otrucia. Spalony pałac popadał w okresie międzywojennym w coraz większą ruinę. Próbowano go jeszcze odbudować Zofia Jelska, było już jednak za późno. Spore partie cegły uległy znacznemu zniszczeniu na skutek zmurszenia.

W 1937 roku przystąpiono do stopniowej rozbiórki pałacu. Prace te wykonywał wówczas, wraz z najętymi robotnikami, Paweł Kaliszuk ze Starzynki. II wojna światowa na jakiś czas przerwała prace rozbiórkowe, w okresie powojennym kontynuowano je.

Kiedy objąłem parafię Neple w lipcu 1955 r. widziałem jeszcze resztki frontonu pałacu. Na samym wierzchu rosła dość spora brzoza. W 1956 roku resztki budynku rozbierał niejaki Litwiniuk, którego w okolicy nie wiadomo dlaczego przezywano Wojewodą. Również ja kupiłem u niego kilka wozów gruzu, który został przeznaczony na rozbudowę gospodarczych budynków parafialnych.

W swoich zbiorach regionalnych posiadam 3 fotografie pałacu: z około 1905 r., 1910 i 1937 r.

Skromna, niewielka wioska Neple, licząca niewielu mieszkańców, a jakże bogata i ciekawa jest historia tej miejscowości. W tym niewielkim opisie przedstawione zostały jedynie krótkie informacje o zabytkach architektonicznych oraz pamiątkach z przeszłości. Niezmiernie ciekawe są również losy rodzin związanych z Neplami: Niemcewiczów, Mierzejewskich i Dymiszów. Temat ten jest wart podjęcia i przygotowania odpowiedniego artykułu monograficznego. Wdzięczny jestem losowi, że pozwolił mi spędzić kilka dziesięcioleci w tym uroczym zakątku Podlasia, badać i dokumentować jego dzień wczorajszy, na co dzień "przyjaźnić się" z historią.

Opracował i przygotował do druku:
Grzegorz Michałowski

OBROŃCY WIARY I POLSKOŚCI

Artykuł opracowała grupa uczniów Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej w Milanowie: Katarzyna Goryńska, Jolanta Samsonowicz, Urszula Słowik, Agnieszka Izdebska, Edyta Wodzińska, Ireneusz Witkowski, Paweł Klej, Eliza Kowalska, Renata Boguszevska. Stanowi fragment pracy uhonorowanej I nagrodą w konkursie "Mała Ojczyzna", zorganizowanym przez Zarząd Główny Towarzystwa im. Marii Konopnickiej w Warszawie.

Kościół rozwijał się w bardzo różnych warunkach. Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa zarysowały się różnice między kościołem Wschodu i Zachodu. Wpłynęły na to przede wszystkim: odrębność języka, kultury i różna wrażliwość teologiczna. Prace nad jednością Kościoła ciągle trwały. Były podejmowane w Rzeczypospolitej, która sąsiadowała albo obejmowała tereny zamieszkałe przez chrześcijan i prawosławnych.

W XVI w. zarysowały się tendencje do połączenia Kościoła wschodniego z zachodnim. Tym zjednoczeniowym tendencjom biskupów ruskich sprzeciwili się biskupi katoliccy. Piotr Skarga wskazywał na konieczność zjednoczenia kościoła mówiąc: "Gdybyśmy do waszego, a wy do naszego kościoła chodzili, u jednego ołtarza ofiarę Najświętszą czynili, wdzięczniejsze i miłsze byłoby sąsiedztwo, które mamy ze sobą... Na koniec i państwo w rzeczach świeckich byłoby potężniejsze..."

Przełomowe znaczenie dla dążeń unijnych miał 1590 r. Wtedy to biskupi prawosławni zdecydowali się uznać nad swoimi kościołami zwierzchnictwo papieża. Proces unijny doprowadził do synodu w Brześciu w 1595 r., gdzie zapadła ostateczna decyzja przystąpienia biskupów prawosławnych: Cyryla Terleckiego, Leoncjusza Pełczyckiego, Gedeona Bałabana i Dionizego Zbińskiego do unii z Rzymem. 25 listopada 1595 r. biskupi Pocięj i Terlecki udali się do papieża Klemensa VIII, który ogłosił konstytucję zjednoczeniową "Magnus Dominus" i wręczył im list apostolski "Benedictus sit pastor", który upoważnił, aby akt zjednoczeniowy uroczyście odczytać na najbliższym

synodzie w Brześciu. Następny synod odbył się w dniach od 6 do 10 października 1596 r. Do unii teraz należeli: metropolita Kijowa i całej Rusi Michał Rahoza oraz biskupi: Pełczycki, Pociej, Terlecki, Zbirujski i Zahorski. Unici zachowali dotychczasową liturgię z językiem starocerkiewnym, przyjęli wszystkie dogmaty kościelne i organizację kościelną.

Unici napotkali jednak wiele przeszkód. Od razu obradował w Brześciu antysynod, którego przywódcami byli dwaj biskupi: G. Bałaban (pierwotnie przychylny unii) oraz Michał Kopystyński. Od tego czasu podejmowano liczne działania przeciwko unii. Z czasem patronat nad zwalczaniem jej objęła Moskwa. Unici przeżywali tragiczne chwile. Manipulowano nimi w różny sposób, dochodziło do wielu zabójstw na tle wyznaniowym. Ofiarą takiej wzajemnej nienawiści stał się święty Jozafat Kuncewicz, unicki arcybiskup połocki, zamordowany w Witebsku w czasie wizyty duszpasterskiej w 1623 roku.

Groźną w skutkach walkę z unią podjęto po kolejnych rozbiorach Polski. Podjęła ją najpierw caryca Katarzyna II. Zależało jej na rusyfikacji zagarniętych ziem i do tego celu wykorzystwała cerkiew prawosławną. Za następnych carów walka z unią nasiliła się. Zakazano unitom przechodzenia na obrządek łaciński. Zlikwidowano kilka diecezji unickich. W 1839 r., bezprawnie, cały kościół unicki został przyłączony do cerkwi prawosławnej. W Królestwie Polskim pod panowaniem carów rosyjskich pozostała tylko unicka diecezja chełmska.

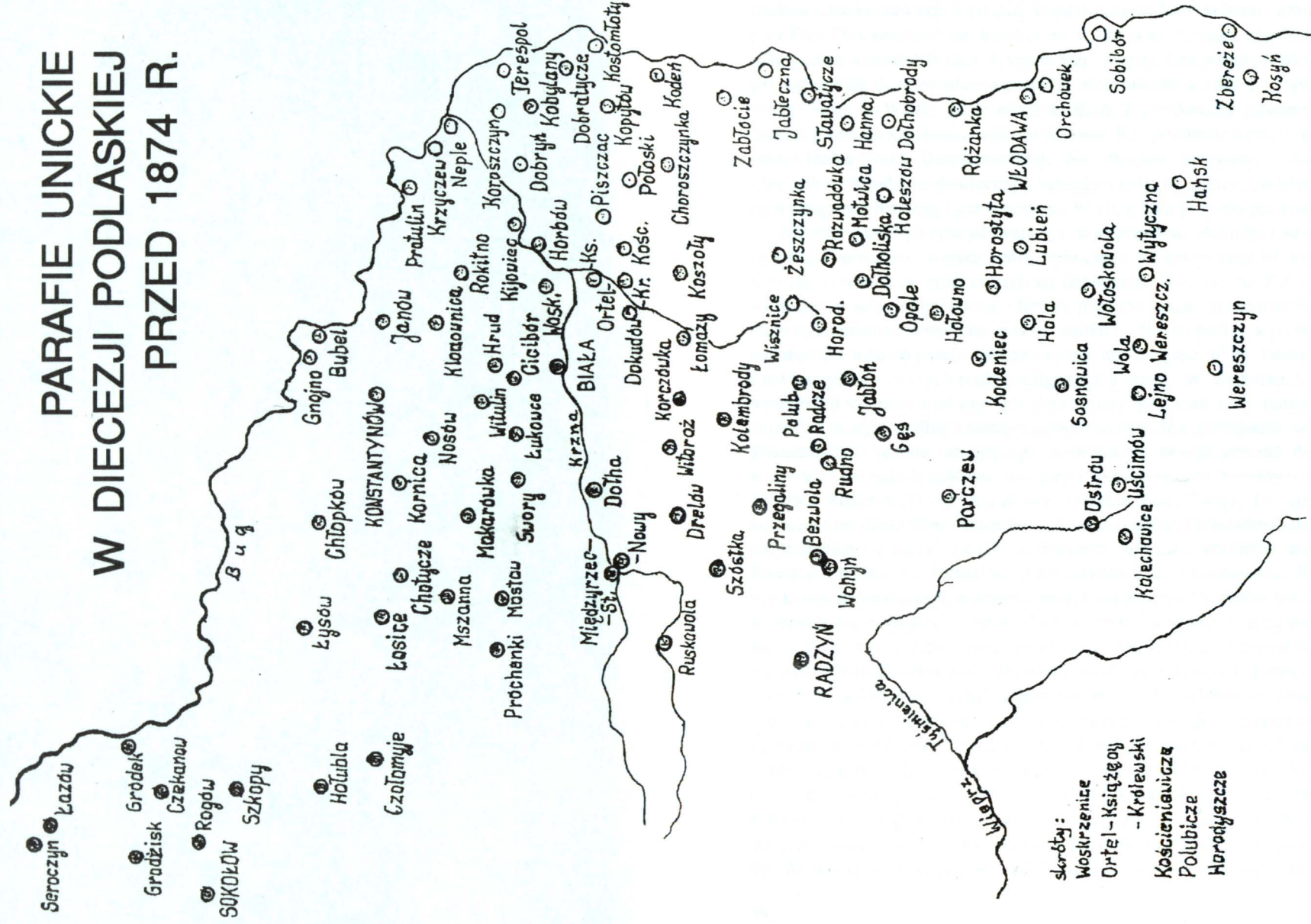
Unicka diecezja chełmska rozciągała się na terytorium, głównie, dwóch diecezji łacińskich: lubelskiej i podlaskiej. Kilka parafii unickich znajdowało się jeszcze na terenie diecezji sejneńskiej. Istnienie obok siebie dwóch obrządków powodowało, że wierni korzystali z posług u duszpasterzy, którzy byli łatwiej dostępni. Nie było istotnych zadrążeń między unitami i łacinnikami.

Radykalna rozprawa z unią miała nastąpić dopiero po powstaniu styczniowym. W 1863 r. represje władz carskich objęły cały kraj. W czerwcu arcybiskup warszawski Zygmunt Feliński został zesłany na 20 lat do Jarosławia nad Wołgą. Zlikwidowano diecezję podlaską, mińską i kamieniecką. Na wygnanie skazano wielu biskupów łacińskich. Unici znaleźli się w sytuacji dramatycznej. Władze carskie starały się różnymi sposobami włączyć ich do cerkwi prawosławnej. Początkowo starano się zjednać drobnymi obietnicami i ustępstwami duchownych unickich, którzy mieli duże znaczenie w realizacji planu przyłączenia unitów do prawosławia. Kiedy to nie pomogło,

stosowano zastraszanie lub naciski administracyjne. Wyrazem tego było uniemożliwienie konsekracji biskupiej księdzu Janowi Kalińskiemu, którego papież Pius IX wyznaczył na koadiutora w unickiej diecezji chełmskiej. Ze względu na wierność Stolicy Apostolskiej i obronę diecezji chełmskiej przed przyłączeniem do prawosławia został on aresztowany w 1866 r. i wywieziony w głąb Rosji do Wiatki, gdzie wkrótce zmarł. Zdecydowaną postawę księży unickich starano się złamać ograniczeniami lub pozbawieniem możliwości prowadzenia pracy duszpasterskiej. Na miejsce nieugiętych kapłanów unickich sprowadzono do diecezji chełmskiej księży z Galicji, podatniejszych na propagandę rosyjską i prawosławną. Wielu z nich przyjęło prawosławie.

Wierni jednak byli zdecydowani wytrwać przy unii. Pomimo nadzoru policyjnego i obecności wojska, które było ciągle rozmieszczone na kwaterach w różnych wioskach, unicy zbierali się potajemnie, aby się modlić i ustalać jednolity sposób postępowania. Ogólnie przyjęto zasadę niewpuszczania duchownych prawosławnych do cerkwi unickich. Na wypadek wprowadzenia siłą duchownego do parafii postanowiono nie uczęszczać do takiej cerkwi i nie korzystać z żadnych posług religijnych u niego. W wypadkach wątpliwych mieli się przekonać czy ich duszpasterz jest kapłanem unickim, czy celebrowe liturgię według zasad przyjętych na synodzie zamojskim w 1720 r. Postanowienia synodu zamojskiego potwierdziły pewne zmiany dokonane w liturgii i obrzędach kościoła unickiego. Wprowadzono mianowicie nabożeństwa: Różaniec, Droge Krzyżową, Gorzkie Żale, Święto Bożego Ciała. Używano też dzwonków, organów i konfesjonatów. Prześladowania unitów rozpoczynały się zwykle od tzw. oczyszczania liturgii z wpływów łacińskich. Potem domagano się formalnej przynależności do prawosławia. Rząd rosyjski przemocą dążył do zniesienia unii. Popi zapisywali unitów jako prawosławnych, nie pytając ich o zgodę. Nazywano to "dobrowolnym nawracaniem się". Unicie, zapisanemu jako prawosławny, pod grozą najstraszniejszych kar nie wolno było praktykować swej wiary. Unicy byli nieugięci, gotowi do najwyższych poświęceń. Unikali przede wszystkim kontaktów ze strażnikami szpiegującymi ich. Nazywano ich "duszołapami". Żyli pod ciągłym strachem i groźbą, zdani na łaskę i niełaskę strażników, żyli jakby wyłączeni ze społeczeństwa, niby stada dzikich zwierząt odgradzone od świata i ludzkiego życia nieprzebytym gąszczem praw, zakazów, sztrafów i więzień. Najgorsze było to, że nie mogli uzyskać żadnej pomocy, ponieważ uciekano przed nimi jak przed zadżumionymi, wypędzano ich z domów, z kościołów, szczuto psami. We wsi Hrud unicy cierpieli głód, nędzę, byli wielokrotnie bici, wręcz

PARAFIE UNICKIE W DIECEZJI PODLASKIEJ PRZED 1874 R.



katowani. Kobiety z dziećmi sypiały na strychach obór, w stodołach, aby uniknąć ochrzczenia ich dzieci w cerkwiach.

Dramatyczne prześladowania unitów osiągnęły swój punkt kulminacyjny w męczeństwie wielu z nich w Drełowie i Pratulinie 1874 r. Unicka parafia w Drełowie liczyła około trzech tysięcy parafian. Dnia 13 stycznia, kiedy wierni weszli do cerkwi, zobaczyli, że nowy duchowny odprawia nabożeństwo w liturgii prawosławnej. Najpierw prosili go, całując po rękach, aby odprawiał po dawnemu. Kiedy usłyszeli, że on tu wypełnia polecenia rządu carskiego, wtedy usunęli kapłana ze świątyni i zamknęli ją na klucz. Natychmiast przybyła sotnia kozacka, która miała zmusić opornych unitów do posłuszeństwa. Unicy protestowali, nie chcieli oddać naczelnikowi powiatu kluczy, ponieważ sądzili, że cerkiew to ich własność. Do akcji wtedy wkroczyli Kozacy, którzy tratowali klęczących wiernych, mężczyzn wiązali powrozami, padały strzały. Okrutnie katowano zebranych. Męczennicy umierali ze śpiewem pieśni religijnych na ustach. Uparcie, mimo cierpienia i bólu bronili wejścia do cerkwi. "Tu nasz dom, tu nasza święta ziemia, tu krew nasza, tu niech będzie nasz jeden grób" - odpowiadali z przekonaniem o słuszności słów. Rannych było około dwustu parafian. Wielu mężczyzn zabito, ale nieznane jest miejsce pochowania ciał bohaterskich unitów. Pamięć o nich jest ciągle żywa i co roku 17 stycznia celebrowana jest msza za dusze poległych w obronie wiary.

Podobnie było w Pratulinie. Unicy nie pozwolili sprawować liturgii według obrządku prawosławnego. Prosili, żeby proboszcz z Krzyczewa, który miał czasowo zarządzać parafią, nie przyjeżdżał więcej do Pratulina. Zamknęli cerkiew i zabrali klucze. Sprawa dotarła do naczelnika powiatu Kutanina, który zdecydowanie zażądał oddania kluczy oraz przyjęcia duszpasterza zaproponowanego przez władze. Unicy nie usłuchali. 24 stycznia 1874 roku do akcji wkroczyło wojsko. Żołnierze z bronią stanęli naprzeciw bezbronnemu, rozmodlonego tłumu. Rozerwali parkan otaczający świątynię, potem z bagnetami rzucali się na lud, padły też strzały. Tłum śpiewał "Boże coś Polskę", "Święty Boże" i "Kto się w opiekę". Padały ofiary. Było 13 zabitych, a rannych ponad sto osiemdziesiąt. Drzwi świątyni otwarto przy pomocy siekiery.

O męczeństwie w Pratulinie tak pisał Pius XII w 350 rocznicę unii Kościoła ruskiego ze Stolicą Apostolską:

"Wieśniacy pratulinińscy, gdy przybyło wojsko, aby zajmować świątynię i przekazać schizmatykom, nie odpowiedzieli siłą na siłę, ale ustawili się w żywy mur; jedni ugodzeni kulami przelali krew za Chrystusa, drugich

poraniono okrutnie, skatowano, innych wreszcie wtrącono na wiele lat do więzienia lub wywieziono na Syberię... Należy mieć nadzieję, że pieczętujących własną śmiercią swoje przywiązanie do wiary katolickiej wpisze Kościół w poczet błogosławionych".

Nie były to jedyne przykłady przelania męczeńskiej krwi za wiarę. 19 XI 1874 roku wkroczyły trzy rotty piechoty i Kozaków do wsi Kornica. Naczelnik Klimenko zapytał, czy przyjmą mieszkańcy prawosławie. Gdy odmówili jednoznacznie, kazał wszystkim wymierzyć karę dwudziestu pięciu razów najałkami i pozostawić na mrozie ze słowami: "Jeśli skonacie na mrozie - to lepiej; ci którzy pozostaną przy życiu i tak przyjmą prawosławie". Wojsko kwaterowało we wsi 10 dni. Opornych unitów głodzono. Kazano im wykonywać najróżniejsze bezsensowne prace na dużym mrozie. Przy świcie batogów konali dorośli i dzieci, niemowlęta umierały z zimna i głodu.

W Parczewie w listopadzie 1873 r. parafianie wyrzucili ze swojej cerkwi księdza, który zaczął wprowadzać prawosławne nabożeństwo. W obawie przed dalszym profanowaniem świątyni przez prawosławnych, mężczyźni otoczyli ją murem z własnych ciał, kładąc się jeden obok drugiego na ziemię krzyżem. Sprowadzono wojsko. Żołnierze przeszli po plecach i głowach unitów, deptając leżących podkutymi butami, bijąc po głowach kolbami karabinów. Nie zmusili ich do odstąpienia od kościoła. Zaczęli więc wywlekać opornych z placu za nogi i włosy, maltretować biczami. Kiedy pobitych, obywatelnych, zbuczonych krwią mężczyzn uwięziono w żydowskiej szkole, kościół otoczyły kobiety. Potraktowano je równie brutalnie jak mężczyzn i rozpędzono do domów. Przez 3 miesiące w Parczewie stacjonowało wojsko grabiąc co się dało i sprzedając za bezcen. Mieszkańcy, w obawie przed Kozakami, mimo zimy zbiegli do lasu. Dopiero po opuszczeniu parafii przez wojsko carskie mogli powrócić do swoich spustoszonych domostw. Zastali tragiczny widok. Stodoły i obory bez drzwi, w chatach żadnego sprzętu, powybijane szyby, rozwalone piece. Inwentarza żywego nie zastali, ponieważ uczłujący żołdacy wybili wszystko. W Parczewie w obronie wiary zginęło czworo parafian: dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

Pisząc o unitach nie można pominąć Sanktuarium Maryjnego w Hołubli, uświęconego męczeństwem parafian. Świątynia unicka już XVI w. została hojnie wyposażona przez Bogdanę z Sapiehów. Umieszczony został wtedy obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem sprowadzony ze Wschodu. Ten wizerunek Maryjny był otoczony szczególnym kultem przez parafian. Wyrazem łask i świadectwem doznawanych cudów były liczne wota gromadzone wokół

obrazu. Według opowieści najstarszych mieszkańców, na strychu kościoła było wiele kul inwalidzkich, które pozostawiali chorzy uleczeni przed tym cudownym obrazem. W 1927 r. odbyła się koronacja obrazu. Założono sukienkę z połączonej blachy z dwoma koronami nad głową Matki Bożej i Dzieciątka.

Przy drodze prowadzącej do kościoła stoi pomnik postawiony w hołdzie i przypominający światu nazwiska wiernych, którzy pokazali niezwykle męstwo, niezwykłą odwagę w walce o wiarę katolicką. Na tablicy pamiątkowej utrwalono nazwiska: Jan Łopaciuk, Teodor Wojciuk, Mikołaj Klimiuk, Jan Liss i Apolonia, Paweł Wilgurski.

W Hołubli jest wiele pamiątek pounickich: obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem, Monstrancja, puszka do przechowywania Najświętszego Sakramentu, figura św. Mikołaja i cztery barokowe ornaty.

Unici mieszkali również w Orchówku. Kiedy w 1887 r. kościół parafialny zamieniono na cerkiew prawosławną, unicy zaczęli się spotykać w domach prywatnych. Franciszka Kamińska, żyjąca do dziś wnuczka Maksyma Kosyka, najbardziej niezłomnego unity, tak wspomina tamte czasy: "Dziadek był gorliwym unitą. Był w czasach prześladowań, kiedy nie było w Orchówku księży, przywódcą duchowym ludzi. Nie był księdzem, ale nauczył ludzi śpiewać "Gorzkie Żale", "Godzinki". Podczas pięknych majowych wieczorów odmawiał z mieszkańcami różaniec i śpiewał litanię. Czasami przyjeżdżali księża i po kryjomu odprawiali nabożeństwo. Dom dziadka był nieustannie nawiedzany przez carskich urzędników. Wyciągali wszystko co się udało wziąć, ale nie potrafili wyrwać z tych ludzi wiary w Boga i polskości, ponieważ oni byli pod opiekuńczym płaszczem Matki Bożej Pocieszenia."

Kult Matki Bożej Pocieszenia był i nadal jest bardzo żywy. Każdego roku przybywają tutaj pielgrzymki z pokłonem i prośbą o opiekę w życiu. Wzruszające są słowa skierowane do Maryi:

"Bądź pozdrowiona, osieroconych pewna obrono, wszystkiego świata wdzięczne wesele, świętych miła pociecho, opuszczonych nieomylna nadziejo. Bądź pozdrowiona Matko Miłosierdzia, ubogich i zasmuconych słodka ucieczko, w tym cudownym obrazie Twoim, niezliczonymi łaskami wstawiona. Upraszamy Cię żywą wiarą serdeczna Matko bądź nam aż do skonania niezawiedzioną obroną, nieomylną pociechą, pocieszaj nasze strapione serca, pasmem spokoju i radości nas obdarzaj...!" Piękne są słowa modlitwy Jana Pawła II skierowanej do Matki Bożej Pocieszenia 13.05.1980 r. "Dziewico Najświętsza bądź Pocieszycielką jedyną Kościoła,

Tą, która kocha i która wspiera... Pociesz lud, który Cię kocha i czci, pociesz młodych, zwłaszcza tych żyjących w sytuacjach dramatycznych, opuszczonych i rozczarowanych, tych wszystkich, którzy odczuwają w sercu silną potrzebę miłości, dawania siebie. O matko pociesz wszystkich, spraw by wszyscy pojęli, że tajemnica szczęścia leży w tym, by iść za Twym Synem, Jezusem".

Pisząc o unitach należy wspomnieć o Królowej Podlasia, Matce Boskiej Kodeńskiej, która ma swój tron łaski, miłosierdzia i dobra w Kodniu nad Bugiem. Niezwykłe były losy tego cudownego obrazu. Historia sprowadzenia go do Polski przetrwała w pamięci wielu pokoleń, ale też uwieczniona została w literaturze pięknej. Dla uczczenia bohaterskich unitów, męczenników Podlasia, którzy na tym miejscu czerpali natchnienie i siłę do obrony wiary i jedności z Kościołem katolickim wmurowano 4 IX 1977 roku tablicę pamiątkową.

Na uwagę zasługują również pamiątniki Heleny Filipczuk, Ewy Iwanczewskiej, Marii Tymickiej oraz Wiktora Walewskiego. Wszyscy ci autorzy wyszli ze środowiska wiejskiego, pochodzą z chłopskich rodzin unickich. Są naocznymi świadkami i uczestnikami wydarzeń. Ich zapiski ukazują obraz przeżyć unitów, wskazują męczenników za wiarę w ich najbliższym otoczeniu. Wypowiedzi wspomnianych wyżej autorów uzupełniają się. Helena Filipczuk skupia uwagę na wydarzeniach rozgrywających się w latach 1866-1886. Ewa Iwanczewska stara się przedstawić wydarzenia z końca lat osiemdziesiątych XIX wieku. Maria Tymicka zajęła się losem zesańców, natomiast Wiktor Walewski przedstawił ciąg zdarzeń od lat osiemdziesiątych po rok 1909. Ich relacje stanowią skarbnicę wiedzy. Mogą służyć nie tylko historykom, ale również językoznawcom, ponieważ były opowiedziane językiem, jakim posługiwali się unicy w cerkwi czy poza nią.

Obrazy przedstawiane przez autorów wspomnień są wstrząsające: "Co niedziela przed kościołem wisznickim, parczewskim, radzyńskim, bialskim rozgrywały się sceny oburzające. Strażnicy wraz z wartą ochotniczą stają przy ciasnej furtce, jedynym wejściu do świątyni, przyglądając się bacznie każdemu wchodzącemu. Skoro im się wyda, że wchodzący jest unitą, odpychają go brutalnie, czasami biją tych rozpoznanych okrutnie, tarzają w błocie, depczą nawet kobiety i dzieci."

Takim osławionym okrutnikiem, jak pisze Maria Tymicka, był naczelnik Hołodziński. Katował on strasznie unitów. Stosował krwawe chłosty. Bił tak długo i mocno, aż pobity tracił przytomność. Widząc silny opór unitów

postanowił ukarać ich wywożąc ojców rodzin z całego Podlasia do Ziemi Chersońskiej, na południe Rosji. Żyli tam po kilkanaście lat. Nawet mimo zesłania ojców rodzin nie udało się władzom rosyjskim zmusić unitów do wyznania prawosławia. Zesłańcy nie zaznali głodu, ponieważ nikt ich tam nie pilnował i nie prześladował. Rodziny ich natomiast cierpiały straszną nędzę. Nie było rąk do pracy, ziemia nie wydawała plonów. Są to tylko drobne fragmenty przeżyć tych ludzi, bo nie sposób przedstawić ogromu cierpień jakich doznali.

Poprawę sytuacji unitów przyniósł dopiero 1905 rok. Car Mikołaj II zmuszony był do wydania ukazu tolerancyjnego. Taki dokument ukazał się 30 kwietnia. Wielu unitów wracało do Kościoła rzymskokatolickiego, przyjmując nawet obrządek łaciński, aby na przyszłość zabezpieczyć się przed represjami. Problem unicki absorbował uwagę całego społeczeństwa polskiego wywołując oznaki współczucia, solidarności, a także chęć niesienia pomocy tym, którzy dali świadectwo swej głębokiej wiary. Wielką rolę odegrał Komitet Obrony Byłych Unitów (powstał w 1895 r.), którego zadaniem było zaspokajanie potrzeb religijnych unitów, rozwijanie oświaty, kolportaż pism wśród "opornych", jak nazywano wówczas unitów.

Prześladowanie unitów tak naprawdę zakończyło się po I wojnie światowej wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Kapelani I Brygady na nowo konsekrowali dawne unickie świątynie i odprawiali w nich, po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat katolickie nabożeństwo.

Na terenie diecezji podlaskiej, wskrzeszonej w 1918 roku po 51 latach nieistnienia, powstało 10 parafii obrządku wschodniego. Były to: Hola, Babel Stary, Kijowiec, Połoski, Terespol, Zabłocie, Kostomłoty, Dokudów, Szóstka i Kodeń. Bezpośrednio przed II wojną światową, w styczniu 1939 r. powstała parafia w Białej Podlaskiej, ale nigdy nie rozwinęła działalności duszpasterskiej. Parafie te były małe liczebnie. Liczyły 1730 wiernych. Kapłanów było dziesięciu. Po II wojnie światowej zniknęły parafie unickie na skutek migracji ludzi na Wschód i Ziemię Odzyskaną. Pozostała jedna parafia w Kostomłotach - licząca około 300 wiernych.

Świadectwa męczeństwa unitów zachowały się w muzeum w Chełmie, a także w pamięci kolejnych pokoleń. W archiwach watykańskich zachowały się oryginalne prośby męczenników skierowane do papieża Leona VIII o wstawiennictwo w ich sprawie. Jest też pamięć o tragedii "opornych", która przetrwała do dnia dzisiejszego na Podlasiu, gdzie księża w parafiach rzymskokatolickich zbierają jeszcze przekazywane z pokolenia na pokolenie re-

lacje o tamtych ciężkich, okupionych krwią latach prześladowań. Pamięć ta ma zdumiewająco trwałą żywot.

*"My spadkobiercy Podlasia praojców,
krórzy za wiarę swe życie oddali.
Każdy z nich na śmierć był zawsze gotów,
lecz wiary wyrzeć z serc swoich nie dali."*

Słowa te napisał niedawno poeta ludowy Seweryn Wojtał, mieszkający na podlaskiej ziemi.

Piśmiennictwo:

1. Wł. St. Reymont "Z ziemi chełmskiej", Warszawa 1990
2. Ks. bp. E. Likowski "Dzieje Kościoła Unickiego", Warszawa 1906
3. Ks. A. Kotyło "Wśród Unitów Podlaskich", Kraków 1923
4. T. Krawczak "Zanim wróciła Polska", Warszawa 1994
5. J. Geresz "Unitów Podlaskich droga do świętości", Wiadomości Diecezjalne 1966 nr 8-9
6. F. Chwedoruk "Kult Maryjny w Diecezji Podlaskiej"
7. Ks. K. Dębski "Bohaterstwo Unitów Podl. 1879-1905", Czerwińsk 1989

Mapkę parafii unickich w diecezji podlaskiej przed 1874 r. sporządził ksiądz Stanisław Buczyński w 1994 roku

Podlaskie refleksje

żonie Krystynie

- 1 To jakby wczoraj pociąg zanurzył się
w zieloność spokoju
w melancholię rozćwierkanych lasów
rozmodlonych łąk
szklistych rozlewisk żwirowni
obok żniwiarzy powracających z pól
z kosami i grabiami trudu

To jakby wczoraj pociąg zatrzymał się
na stacyjce z bajki
w miasteczku nad Krzną
uwikłanym niczym srebrna osa
w tonacji moll

- 2 Pamiętam przybyłem jak ekspres
w niezaklejonej kopercie
na wezwanie oczu zielonych -
głębokich studni zachwytu

Pamiętam przybyłem jak telegram serca
nie ozdobny zwykły
by zasmakować miłości przyjaźni
i ciszy

- 3 Wieczorem tylko wiatr dociekliwy
rozmawia tu z listkiem brzozy
i dłońmi za serce chwytą
przydając przyrodzie tęsknoty

A świt który nieśmiało podnosi
czoło na puszystym niebie
rozsusza kurtynę milczenia
gdy blisko mam do Ciebie

- 4 A potem już wieże kościołów
haftują obłoki nieba
i dzwony wzywają aniołów
patronów dobra i chleba

Płonie zieleń nizinna
w lustrze niknącego słońca
i mgła nad Krzną się kładzie
i poci się z gorąca

- 5 W leśnym chłodnym zakątku
kwitnie grzybnia srebrzysta
mrówki wędrują traktem
by tu znaleźć swą przystań

Obok w dnie zapadliska
słysząc grające organy
broni je zgiełk wężowiska
i posmak legendą owiany

- 6 Jeśli jednak uważniej
spojrzysz na nasze Podlasie
dostrzeżesz żagle kominów
znak czasu w naszym czasie

- 7 To jakby wczoraj pociąg zanurzył się
w zieloność spokoju którego coraz mniej
jak pocztówek z albumu babuni

KSIĄDZ STANISŁAW LEŚNIEWSKI 1884 - 1942

Urodził się dnia 23 listopada 1884 roku w Biezanowie koło Wieliczki. Świecenia kapłańskie otrzymał 12 września 1909 r. Przez 18 lat był rektorem kościoła p. w. Matki Bożej Anielskiej i św. Antoniego w Białej Podlaskiej, jednocześnie w tym samym mieście prefektem dwóch państwowych gimnazjów - liceów, żeńskiego im. E. Plater i męskiego im. J.I. Kraszewskiego.

17 stycznia 1940 roku został wraz z prawie wszystkimi nauczycielami szkół średnich podstępnie przez zbirów hitlerowskich aresztowany i osadzony najpierw w miejscowym więzieniu, a po kilkunastu dniach koszmarnego pobytu w nim odstawiony do kaźni hitlerowskiej na Zamku Lubelskim. Po krótkim pobycie w Lublinie ostatecznie przewieziony został do obozu zagłady najpierw w Sachsenhausen, a później w Dachau, oznaczony nr. więziennym 22765, w którym zginął męczeńską śmiercią 14 listopada 1942 roku.

Przez cały czas mego pobytu (do 1931 roku) w gimnazjum im. J.I. Kraszewskiego, ks. Leśniewski był moim prefektem. A ponieważ darzył mnie wielkim zaufaniem, byłem jego jakby "przybocznym" ministrantem. Dlatego miałem możliwość bliżej i lepiej od innych kolegów go poznać. Dla młodzieży miał zawsze otwarte serce, dobrą radę i prawdziwie przyjacielski stosunek. Jako wykładowca religii - mogąc tego pozazdrościć powojenne roczniki młodzieży - wprowadził nas w tajniki liturgii, historii Kościoła, propedeutyki filozofii, dogmatyki i teologii. Był wymagający, ale i dla leniuchów był wyrozumiały. Jako gospodarz kościoła dbał o jego wystrój, o uroczysty przebieg niedzielnych nabożeństw dla młodzieży, zawsze z homiliami, o udział w nich możliwie wszystkich uczniów i wychowawców. Naszemu marszowi w czwórkach w niedziele z gimnazjum do kościoła towarzyszyła prawie zawsze szkolna orkiestra, a podczas mszy świętej śpiewał męski szkolny chór pod kierunkiem niezapomnianego profesora W. Świątłowskiego. Od

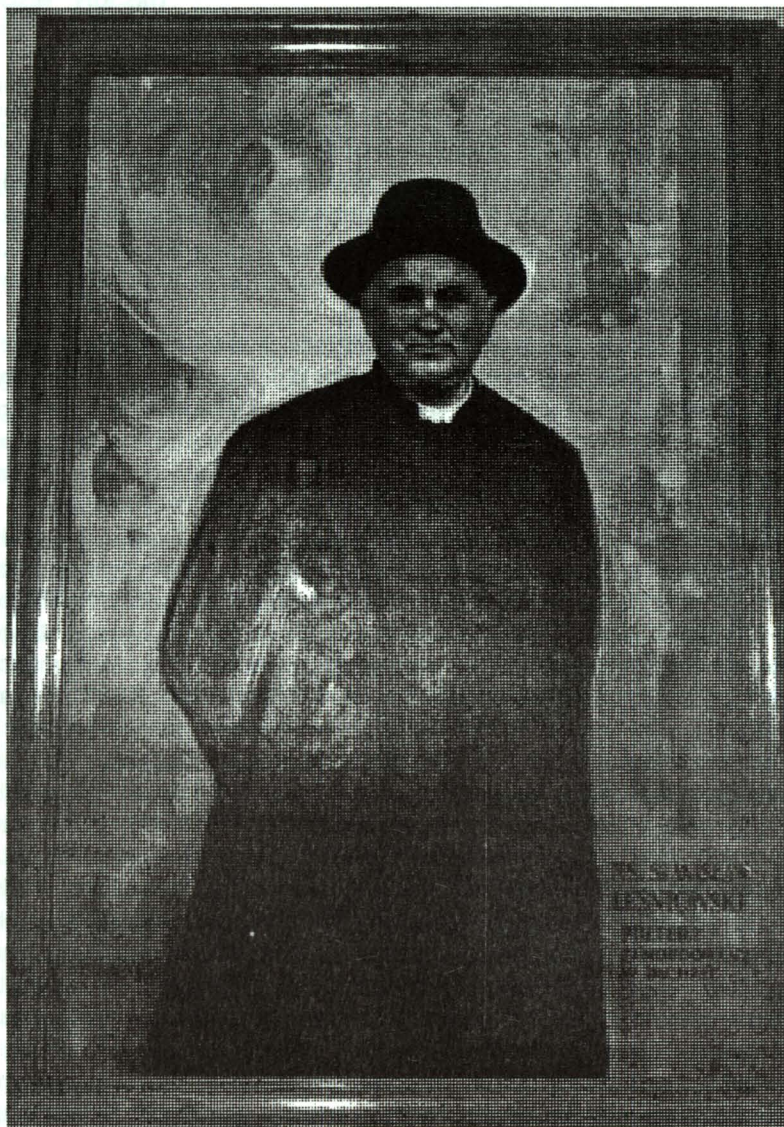
księdza prefekta, a więc z "pierwszej ręki", dowiadywaliśmy się o czekających nas w szkole wyróżnieniach i karach.

Niezależnie od obowiązków prefekta, był moderatorem Sodalicii Mariańskiej w obydwóch liceach, która to organizacja skupiała ponad 50% szkolnej młodzieży. Prawie zawsze uczestniczył w szkolnych wycieczkach m. in. do Krakowa, Wieliczki, a w 1926 roku do Warszawy, z racji ogólnopolskich uroczystości z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego, związanych ze sprowadzeniem do Warszawy relikwii św. Stanisława Kostki. Posiadał duszę artysty, parając się amatorsko malarstwem, fotografią i muzyką, zachęcając młodych do naśladownictwa.

Z jego oblicza zawsze promieniowała pogoda, stwarzając pomiędzy prefektem a nami więź przyjaźni. Był niezwykle tolerancyjny i wyrozumiały, o czym świadczy fakt, że kiedy dwie uczennice wyznania mojżeszowego zwróciły się do niego z prośbą o pozwolenie przebywania w klasie podczas lekcji religii, odpowiedział, że chętnie będzie je widział, pod warunkiem uprzednio uzyskanej przez nie zgody ich rodziców.

W uwzględnieniu osobowości ks. Prefekta, jego dużych zasług dla szkolnego kościoła i zawsze otwartego serca dla młodzieży, podjąłem przed kilku laty, zgodnie z intencją wielu koleżanek i kolegów, starania u aktualnych gospodarzy kościoła p. w. św. Antoniego o uczczenie pamięci ks. Leśniowskiego oraz wspianą jego następcy - niezapomnianego ks. Edmunda Barbasiewicza - stosownymi tablicami - epitafiami wewnątrz kościoła. Niestety... bezskutecznie... Dopiero dzięki inicjatywie dwóch przedwojennych koleżanek - uczennic liceum im. E. Plater Reginy Muszkiewicz-Wertyńskiej i Zofii Krzysztołowicz miałem szczęście wraz z kilkunastoma koleżankami uczestniczyć w uroczystości odsłonięcia w krużganku kościoła szkolnego w dniu 1 września 1989 roku portretu ks. Leśniowskiego, a z racji tej okoliczności wraz z koleżanką dr Marią Kośmicką z d. Szczygielską, w imieniu wszystkich byłych wychowanków wspianą Prefekta, wyraziliśmy słowa pełnego mu oddania, wdzięczności i pamięci. Na zakończenie niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że sprawę uczczenia wymienionych wyżej długoletnich i wspianych księży rektorów - prefektów społeczeństwo białskie uważa i uważać będzie za otwartą.

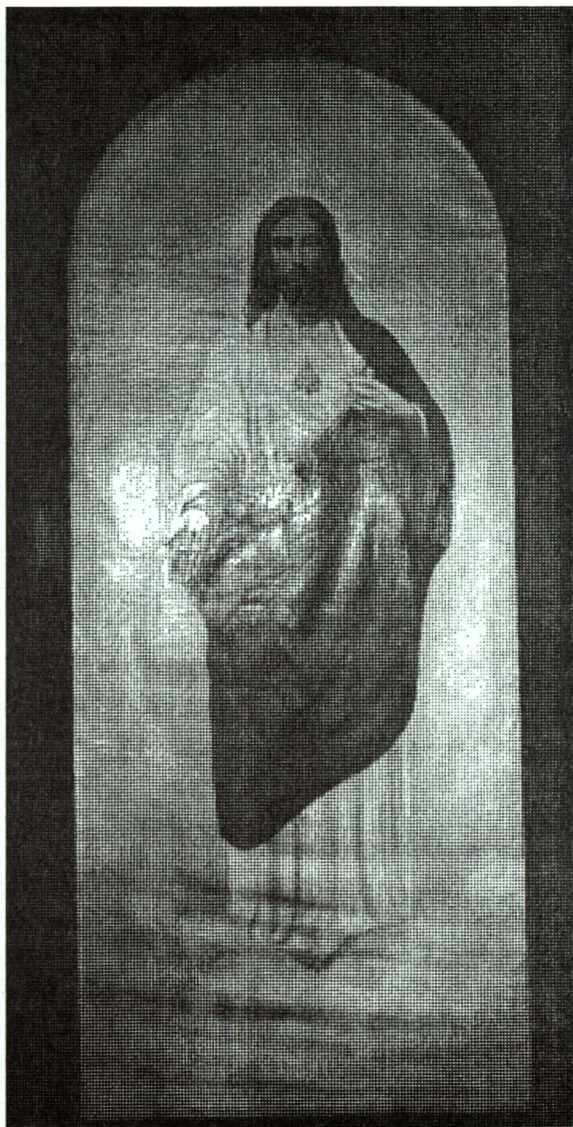
Aneks. Na podstawie źródeł zachowanych w Archiwum Diecezjalnym w Siedlcach możemy uzupełnić powyższe cenne wspomnienie Autora oraz ubogacić je ilustracjami portretu ks. St. Leśniowskiego, pędzla znanego artysty z Podlasia S. Baja (1989) i czterech religijnych obrazów, wykonanych



Portret ks. S. Leśniowskiego autorstwa S. Baja



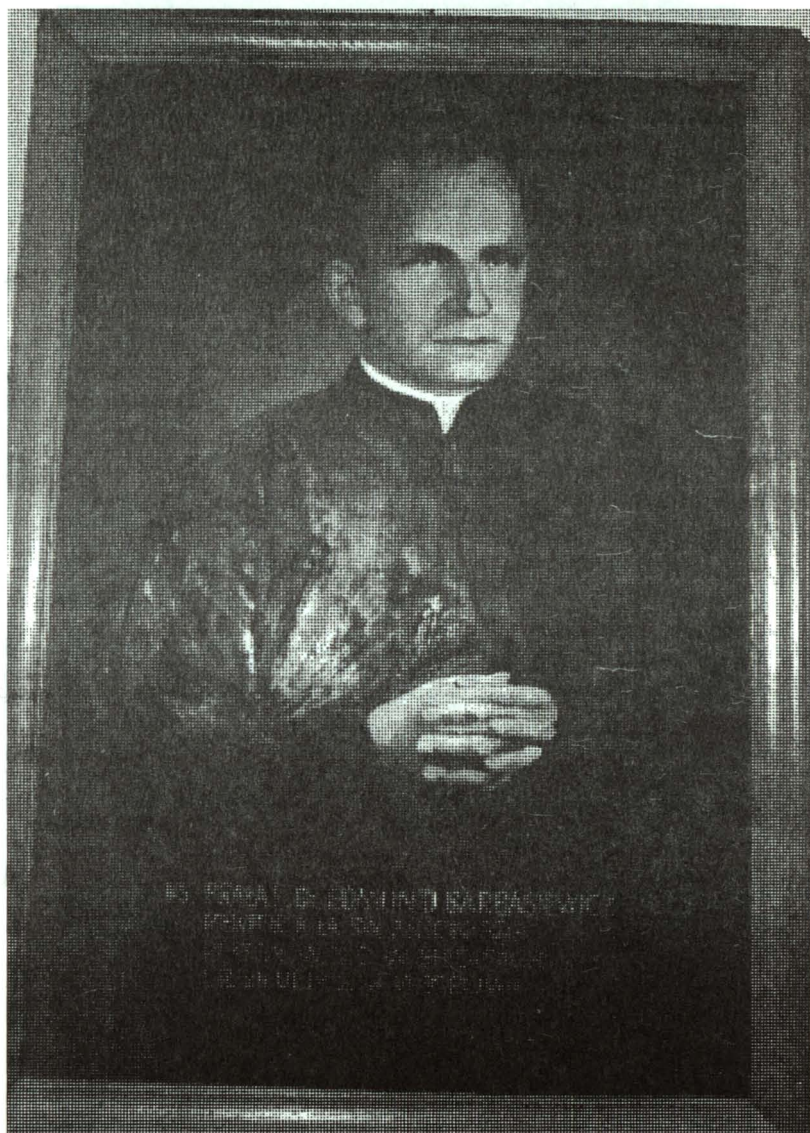
Obraz religijny autorstwa ks. S. Leśniowskiego



Obraz religijny autorstwa ks. S. Leśniowskiego



Obraz religijny autorstwa ks. S. Leśniowskiego



Portret ks. E. Barbasiewicza autorstwa C. Obel

przez ś.p. Bohatera wspomnień. Ks. St. Leśniowski pochodził z Biezanowa, gdzie jego ojciec był przez 35 lat ekonomem we dworze. Szkołę powszechną ukończył w Biezanowie, gimnazjum zaś w Krakowie. Jako uczeń klasy IV wstąpił do zakonu Zgromadzenia Księża Misjonarzy św. Wincentego a Paulo w Krakowie. U nich dopełnił swe średnie wykształcenie, odbył dwuletni kurs seminaryjny, dnia 8 września 1907 roku złożył profesję zakonną, ponadto przez cztery lata studiował teologię w Instytucie Teologicznym Księża Misjonarzy w Krakowie, uznanym zarówno przez rząd austriacki, jak i polski. Po otrzymaniu święceń kapłańskich z rąk krakowskiego biskupa sufragana Anatola Nowaka w 1909 roku, początkowo w 1910 roku pomagał kapelanowi w szpitalu św. Łazarza w Krakowie, następnie w latach 1910-1914 pełnił funkcje wikariusza parafialnego w Tarnowie i w Białym Kamieniu koło Złoczowa. Podczas I wojny światowej w latach 1914-1915 był kapłanem na stacji zbornej dla rannych żołnierzy w Krakowie. W latach 1915-1919 pełnił obowiązki profesora w Małym Seminarium Księża Misjonarzy w Krakowie i świadczył pomoc duszpasterską w parafii Mydlańki. W latach 1919-1922 pracował jako wikariusz i kapelan szpitalny we Lwowie, a następnie do dnia 24 marca 1923 roku był wikariuszem w Milatynie Nowym w archidiecezji lwowskiej. Tego dnia został zwolniony przez przełożonego generalnego Księża Misjonarzy z życia zakonnego, aby mógł służyć pomocą materialną swemu rodzeństwu przy zdobywaniu wykształcenia, gdyż jego rodzina mocno zubożała. Już dnia 28 marca 1923 roku zwrócił się z prośbą do księdza biskupa Henryka Przeździeckiego o przyjęcie do diecezji siedleckiej. Został przyjęty pod datą 27 kwietnia 1923 roku i mianowany wikariuszem w Kocku. Proboszcz kocki ks. Marcei Glinka proponował go na administratora parafii Adamów przy ks. Józefie Gozdalskim jako "... bardzo gorliwego, przykładnego i taktownego w pożyciu kapłana...". Lecz on sam stanął do konkursu na rektora poreformackiego kościoła i prefekta gimnazjum żeńskiego im. E. Plater w Białej Podlaskiej. Nominację na to stanowisko otrzymał dnia 14 marca 1924 roku. Potem otrzymał misję nauczania także w gimnazjum męskim im. J.I. Kraszewskiego. Uczył też na kursach dokształcających młodzieży męskiej rękodzielniczej. Oprócz szkolnych stowarzyszeń religijnych miał pod swoją opieką Kongregację III Zakonu św. Franciszka przy kościele poreformackim. Gospodarstwo domowe prowadziła mu zazwyczaj jego siostra. Według opinii innych księży miał on bardzo wiele lekcji. Mimo tego, że młodzież była niekarna, zachowywał równowagę psychiczną. Białski dziekan świadczył, iż "ma wzięcie zarówno u młodzieży jak i u nauczycieli",

jakkolwiek był trochę nerwowy, ale nie czynił tego gwałtownie. Opinie te przedkładali księża biskupi w związku ze skargą w 1936 roku Kazimierzy Dobruckiej z Piastowa o rzekomo niegrzecznym traktowaniu przez ks. Leśniowskiego uczniów w szkole oraz w kościele. Było to nieporozumienie, sama młodzież wspomina go mile. Wyjeżdżał na odpoczynek w czasie wakacji w rodzinne strony, w góry, nad morze. Powiadał o tym Kurię Biskupią, podczas nieobecności zastępowali go w pracy duszpasterskiej inni kapłani, przeważnie byli to księża kapelani wojskowi. Białą Podlaskę opuścił w 1940 roku jako więzień obozów hitlerowskich i jako polski bohater, zmarł w Dachau dnia 14 listopada 1942 roku, rzekomo z powodu niewydolności nerek. Gdy idzie o zachowanie o nim pamięci, to przede wszystkim pozostaje ona w sercach i umysłach jego uczniów, a tylko część ich pochodziła z samej Białej Podlaskiej. Jego nazwisko jest odnotowane w kronice ojców kapucynów, aktualnych gospodarzy kościoła i klasztoru poreformackiego oraz w księgach liceów im. E. Plater i J.I. Kraszewskiego. Jego czci są poświęcone tablice umieszczone staraniem uczniów w murach klasztornych, niedawno goszczących uczącą się tu młodzież. Są to oznaki wspólnej czci dla ogółu nauczycieli, szczególnie pomordowanych w obozach hitlerowskich i sowieckich. W murach świątyni nie ma tablicy ani ku jego czci, ani ku czci ks. E. Barbasiewicza, bowiem przepisy kościelne z trudem pozwalają na tego rodzaju pomniki. Zresztą, w kościele brak miejsca na obrazy i figury święte. Natomiast za wyraz szczególnej o nich pamięci należy uznać umieszczenie ich portretów w korytarzu głównym klasztoru, biegnącym wzdłuż ściany kościoła. Portrety te znajdują się w serii wybitnych postaci, takich jak biskup podlaski Beniamin Szymański, bł. Honorat Koźmiński z Białej Podlaskiej. Obok tych portretów są eksponowane pamiątkowe obrazy religijne, trzy z nich namalował ks. St. Leśniowski. Były one darem jego siostry dla ks. biskupa drohiczyńskiego Antoniego Pacyfika Dydycza, niegdyś następcy w rektoracie i w nauczaniu religii ks. St. Leśniowskiego i ks. E. Barbasiewicza, afiliowanego do zakonu kapucynów podobnie jak ś.p. ks. biskup Ignacy Świrski, który ten zakon sprowadził do Białej Podlaskiej (Jerzy Cygan, OFMCap.).

Piśmiennictwo:

1. Archiwum Diecezjalne w Siedlcach: *Acta Kurii Diecezjalnej Siedleckiej czyli Podlaskiej. Acta osobiste ks. Stanisława Leśniowskiego*. Lit. L. Dział I. Nr porz. 12, t. I. Zaczęte 3. 4. 1923. - Tamże: *Acta parafii Adamów*. Zaczęte 1. 5. 1859 r. - skończone 16. 5. 1980 r.
2. Wiktor Jacewicz - Jan Woś, *Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945*. Z. 1-5. Warszawa 1977-1981 Akademia Teologii Katolickiej ss. 341, 423, 486, 586, 815.

RECENZJE

**Stefan Józef Pastuszka, *Teatr ludowy w II Rzeczypospolitej*.
Warszawa-Kielce, Ludowe Towarzystwo Naukowo-Kulturalne
w Warszawie, 1995. 8⁰ ss. 284, il. 30.**

Książka ogarnia całą Polskę przedwojenną. Zawiera syntetyczne opracowanie dziejów amatorskiego ruchu artystycznego na polskiej wsi, czyli - mówiąc konkretniej - przynosi najbardziej wyczerpującą i zarazem zwięzłą historię polskiego teatru ludowego w dwudziestoleciu międzywojennym, ujętą przede wszystkim w pryzmacie jego roli społecznej. Jest to książka o ambitnych zamierzeniach, bardzo pożądana. Uwzględniono w niej złożoną genezę tego teatru, zakres jego oddziaływania, warunki pracy i szkolenie, znaczenie dla życia społecznego i kulturalnego mieszkańców oraz wpływ na kształtowanie świadomości politycznej, narodowej i obywatelskiej chłopów. Autor, doskonały znawca dziejów ruchu ludowego w ogóle i sam aktywny działacz ludowy, senator III Rzeczypospolitej, był wprost predystynowany do podjęcia tak ważnego zadania. Trzeba zaznaczyć, iż przedstawiony w książce artystyczny ruch był szerokim społecznym ruchem kulturowym, obejmował dziesiątki tysięcy aktorów - amatorów, oddziaływał na miliony mieszkańców wsi i miasteczek. Tworzyli go nauczyciele, działacze organizacji młodzieżowych, chłopci, księża, organiści, osoby wykształcone i samoucy. Autorytetem moralnym, a często i piórem wspierali go też wybitni reprezentanci teatralni, politycy, przedstawiciele hierarchii kościelnej, pedagodzy i wychowawcy. W dwudziestolecie międzywojennym posiadał duże możliwości rozwoju, bowiem czynniki zarówno państwowe jak i kulturalne i polityczne, doceniając siłę społecznego oddziaływania tego środka, popierały ludowy teatr. Padał on także na bardzo podatny grunt, był żywo akceptowany przez swoich odbiorców. Właśnie najbardziej popularną formą amatorskiego ruchu artystycznego był teatr ludowy, budzący w masach poczucie piękna i wyzwalaający uzdolnienia artystyczne. Głównymi teoretykami tego teatru stali się Jędrzej Cierniak, zamordowany przez hitlerowców w 1942 roku i Zofia Solarzowa z Uniwersytetu Ludowego w Gaci Przeworskiej, żona słynnego działa-

cza oświatowego Ignacego Solarza, również zamordowanego przez hitlerowców w 1940 roku. Największym jednak uznaniem cieszył się teatr dla ludu oparty na wzorcach dziewiętnastowiecznych, w szczególności na idei Władysława Ludwika Anczyca (1823-1883), autora popularnych sztuk ludowo-patriotycznych, m. in. utworu "Kościuszko pod Racławicami".

Praca Pastuszki jest oparta na bogatej literaturze i na źródłach archiwalnych, czerpanych z licznych archiwów państwowych i kościelnych oraz bibliotek, z dokumentacji administracji państwowej i kościelnej, organizacji teatralnych, młodzieżowych, kulturalno-oświatowych i gospodarczych, z prasy, z pamiętników, z relacji działaczy, a także z ankiety kilkudziesięciu aktorów teatrów ludowych. Te dane świadczą o ogromie autorskiego trudu i o metodologicznej rzetelności dzieła. Składa się ono z siedmiu obszernych rozdziałów, przejrzystie opracowanych. Przedstawiono w nich wkład głównych organizacji społecznych w rozwój amatorskiego ruchu artystycznego na wsi polskiej od 1919 do 1939 roku, charakterystykę trzech związków ludowego teatru koordynujących tenże ruch (Związek Teatrów i Chórów Ludowych we Lwowie oraz Związek Teatrów Ludowych i Instytut Teatrów Ludowych w Warszawie), teoretyczne podstawy rozwoju teatru ludowego w II Rzeczypospolitej, problemy pracy zespołów teatralnych i sprawy związane z kształceniem kadr dla teatru ludowego, teatralny repertuar, społeczne i wychowawcze funkcje teatru ludowego i kwestie związane z popularyzacją amatorskiego ruchu artystycznego w okresie międzywojennym, przebiegającą wielokierunkowo, w formach zróżnicowanych i w sposób przemysłany. Dzieło jest opatrzone we wstęp i zakończenie, towarzyszy mu bogaty aparat naukowy w przypisach umieszczony w końcowej części książki przed aneksami, ukazującymi w tabelach: ważniejsze kursy teatralne zorganizowane dla reżyserów teatrów ludowych w latach 1928-38; sztuki najczęściej grane przez zespoły teatralne organizacji młodzieżowych w Polsce w latach 1919-35; najczęściej grane sztuki w Polsce w latach 1931-34 w ramach poszczególnych organizacji na obszarze różnych województw. Dzieło zyskuje na wartości naukowej dzięki skrótom nazwisk i nazw geograficznych.

Lektura książki nasuwa szereg refleksji natury rzeczowej. Najpierw spostrzeżenie co do typu sztuki reprezentowanej przez artystyczny ruch na polskiej wsi w omawianym tutaj dwudziestoleciu międzywojennym. Mówiąc globalnie należy stwierdzić, że była to sztuka masowa, o przeogromnym zakresie oddziaływania, w swym artystycznym wyrazie prosta, w swej treści zrozumiała i koherentna z założeniami szacunku dla podstawowych war-

tości moralnych, humanistyczna, postępową a zarazem tradycyjnie polską i chrześcijańską, z tej racji mimo swej ludowości uniwersalna, nie zdominowana polityczną ideologią. Trzeba podkreślić jej autentyczność, bowiem decydujący wkład w uprawianie ludowego teatru wnosili oddolnie dynamiczne organizacje młodzieżowe i wszędzie popularna Ochotnicza Straż Pożarna. Czołowe miejsce - jak stwierdza autor - zajmowały kolejno: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, bardzo aktywne w diecezji siedleckiej; Związek Strzelecki; Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej; Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej "Siew"; Centralny Związek Młodej Wsi, m.in. w Białej Podlaskiej; i Związek Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej "Wici". Wobec niemożliwości ustalenia zakresu oddziaływania ludowego ruchu artystycznego na społeczną świadomość, Autor trafnie posłużył się obfitością przykładów wziętych z całego kraju, także z terenu dzisiejszego województwa białkopodlaskiego. O artystycznej aktywności mieszkańców ówczesnego powiatu Biała Podlaska świadczy fakt, że w latach 1932/33 powiat ten należał do przodujących w ruchu artystycznym, obok takich powiatów jak Łuków, Siedlce, Puławy i Zamość. Do mocno zainteresowanych oglądaniem inscenizacji wesela lubelskiego w latach 1934/35 należeli mieszkańcy miasta Biała Podlaska. Również w dyskusji nad rolą społeczną sztuki zajął skrajne stanowisko jego mieszkaniec Jan Lipka, opowiadając się za rezygnacją z wpływania za pomocą teatru na masy. Gdy idzie o profesjonalną, warsztatową dojrzałość tejże ludowej sztuki, to pozostaje ona jeszcze do określenia, do tego zaś są potrzebne dalsze szczegółowe i fachowe badania w zakresie choreografii, scenografii i poziomu gry aktorskiej.

Jest rzeczą bezsporną, iż teatr ludowy z czasów II Rzeczypospolitej odegrał szczególną rolę w życiu kulturalnym i społecznym wsi, pełniąc funkcje: sakralno-obrzędową, społeczno-wychowawczą, rekreacyjną i estetyczną. Był swoistą, niczym nie zastąpioną szkołą edukacji historycznej, patriotycznej i obywatelskiej społeczeństwa, inspiracją dla wsi do podejmowania twórczych akcji.

Jerzy Cygan, OFM Cap.

*Zabytkowe cmentarze i mogiły w Polsce. Woj. białkopodlaskie
Na podstawie kart cmentarzy i wizji terenowych oprac.*

Janusz Maraśkiewicz, Warszawa 1995, ss, 103 + 28 ilustr.

Pod patronatem Ośrodka Ochrony Zabytkowego Krajobrazu Narodowej Instytucji Kultury w Warszawie i jego współpracy z Państwową Służbą Ochrony Zabytków w Białej Podlaskiej, w opracowaniu J. Maraśkiewicza ukazał się szczególny informator: "Zabytkowe cmentarze i mogiły w Polsce..." Wydawnictwo to stanowi podsumowanie trwających kilkanaście lat prac nad ewidencją cmentarzy i mogił zabytkowych znajdujących się na obszarze woj. białkopodlaskiego. Dodać należy, że prac często bardzo trudnych i czasochłonnych, wymagających dużej wiedzy oraz nierzadko wielokrotnych wizji, badań terenowych.

Szczególny rodzaj informatora, jakim jest to ujęcie ze względu na obiekt badawczy i nowatorskie rozwiązanie, poprzedza zbyt krótka przedmowa od redakcji, pióra E. Baniukiewicz oraz wstęp J. Maraśkiewicza. Dowiadujemy się z treści przedmowy, że niniejszy zeszyt odnoszący się do woj. białkopodlaskiego, w zamiarze inicjatorów wydania otwierać ma serię podobnych opracowań odnoszących się do wszystkich województw w Polsce i że będzie realizowany według określonej koncepcji. Zaiste zamiar to piękny i pożyteczny, oby tylko wystarczyło inicjatorom wytrwałości i chęci w realizacji. We wstępie autor tytułem wprowadzenia przypomina, że obszar obejmujący dzisiejsze woj. białkopodlaskie, położony pomiędzy trzema obszarami kulturowymi Lubelszczyzny, Podlasia i Mazowsza był w przeszłości specyficzny pod względem osadniczym i wyznaniowym (s. 13). Myśli tej jednakże nie rozwija, a szkoda, gdyż historia tego obszaru to niezapisana karta, całkowicie nie znana, a przez to tak przez historyków, jak też polityków całkowicie nie zrozumiana. Utożsamiany niesłusznie z Lubelszczyzną bądź to z Podlasiem, w okresie Rzeczypospolitej szlacheckiej w zdecydowanej większości funkcjonował w strukturze W. Ks. Litewskiego, będąc miejscem styku i wzajemnych oddziaływań kulturowych, wymiany handlowej między ziemią brzeską W. Ks. Litewskiego a przyległymi do niej ziemiami koronnymi. Autor wyraźnie nie akcentuje faktu, że ocalałe cmentarze, większe czy mniejsze, tylko w niewielkim stopniu potwierdzają to "przemieszczenie

osadnicze i etniczne" (s. 13). Zachowane cmentarze są młode, pochodzące przeważnie z XIX stulecia lub z początków XX w. i jedynie pośrednio informują o burzliwej historii tych ziem. Do tego stan zachowania istniejących cmentarzy, jak słusznie autor dodaje, "musi powodować co najmniej zakłopotanie" (s. 14).

Zasadniczą część informatora stanowi katalog cmentarzy i mogił zabytkowych zestawiony alfabetycznie od A do Z. Otwiera się informacją o dziewięciu zachowanych w różnym stanie cmentarzach miasta woj. Białej Podlaskiej. Przy opisie tych cmentarzy, jak pozostałych odnoszących się do całego województwa, otrzymujemy informacje o usytuowaniu, wielkości i administratorze. W dalszej kolejności znajdujemy próbę szerszej charakterystyki ze specyfikacją nagrobków o trwałej wartości artystycznej. W zależności od wielkości cmentarza, stanu zachowanych nagrobków, ich wartości kulturowych spotykamy się z informacjami pełniejszymi lub tylko sygnałnymi. Dłuższe informacje odnoszą się do cmentarza rzymskokatolickiego w Białej Podlaskiej, położonego u zbiegu ulic Janowskiej i Nowej (s. 17-18), cmentarza rzymskokatolickiego w Janowie Podlaskim (s. 39-40), cmentarza rzymskokatolickiego w Międzyrzecu Podlaskim (s. 58-59) i cmentarza greckokatolickiego i rzymskokatolickiego w Wisznicach (s. 84-85). Niewielkie rozmiarami noty odnoszą się do cmentarza rzymskokatolickiego w Czemiernikach (s. 25-26), w Hadynowie (s. 32), Horbowie (s. 34), Kąkolewnicy (s. 41), starych przecież ośrodków osadniczych. Przyjąć należy, że pierwotne cmentarze uległy "zatarciu przez czas", a nowe mają metrykę dziewiętnastowieczną. Lektura katalogu także nie dostarcza pełniejszych informacji o cmentarzach ludności "rusińskiej". Nie znajdujemy adnotacji o cmentarzach prawosławnych w takich silnych ośrodkach tego wyznania jak np. w Horodyszczu (s. 34-35), marginalną zdobywamy informację o cmentarzu prawosławnym w Kodniu (s. 46) czy Sławatyczach (s. 77-78). Niewiele też ocalało z cmentarzy tatarskich, autor słusznie szerzej pisze o mizarze w Studziance (gm. Łomazy (s. 79-80). Jeszcze bardziej skomplikowanie sprawa przedstawia się w odniesieniu do cmentarzy unickich. Katalog informuje o istnieniu cmentarzy tego wyznania, ale i w tym przypadku też nie mają one długiej metryki. Niewiele też spotykamy cmentarzy żydowskich, które chociażby w szczątkowej postaci ocalały (Komarówka, Łomazy, Międzyrzec Podlaski, Sławatycze, Wołyń). Lektura katalogu dostarcza jednej refleksji, że ziemie, które obecnie wchodzą w skład woj. białkopodlaskiego, jakkolwiek charakteryzowała w przeszłości mozaika wyznaniowa i kulturowa, to jej przetrwa-

nie w postaci cmentarzy do dnia dzisiejszego ma charakter przypadkowy i fragmentaryczny. Tezę tę potwierdza zestawienie zbiorcze cmentarzy i mogił zabytkowych według wyznania i innych cech wyróżniających (s. 91-96). Zmienne losy ziem leżących nad środkowym Bugiem i w dolinie Krzny w czasach staropolskich, nowożytnych i współczesnych, niesłusznie określanych dziś jako kresy, bo tymi kresami nie były nigdy w dziejach państwowości polskiej (nawet za Bolesława Chrobrego), spostrzegane z pozycji cmentarzy i stanu ich zachowania mówią o przemijającym czasie. Świadczą też o tym, jak niewiele zostaje po pokoleniach, które żyły i pracowały w przeszłości na tej ziemi, gdy nawiedzały je wojny, prześladowania, a w czasie pokoju różniły wyznania, język, znikła pamięć o dziadach i ojcach. Tym bardziej wydaje się słusznym przesłanie autora katalogu, który wskazuje, jakie cmentarze i mogiły zabytkowe w woj. białkopodlaskim należy objąć ochroną konserwatorską. Czy jednakże ta myśl przewodnia znajdzie zrozumienie władz samorządowych, wojewódzkich i państwowych, tego nie jesteśmy pewni. Niezrozumienie znaczenia pamiątek historii, chociażby dla atrakcyjności kulturowej i turystycznej woj. białkopodlaskiego, wydaje się być bezsporne, a traktowanie dziś tego obszaru Polski przez władze centralne jako ziemi "nie kochanej" jest bardzo widoczne. Czy kwatery i mogiły powstańców i żołnierzy roku 1831, 1863, lat 1914-1918, roku 1920 i lat 1939-1947 za mało mówią? Autor opracowania nie kończy rozważań próbą podsumowania, dostarcza jedynie liczb, a one mówią za siebie i alarmują, jak niewiele zrobiono by ratować cmentarze. Dobrze więc się stało, że otrzymaliśmy tak cenne opracowanie - wskazówkę - jakie jeszcze z istniejących cmentarzy należy objąć ochroną ze względu na ich wartość kulturową. Opracowanie zostało wzbogacone o 28 bardzo ciekawych fotografii i rejestr 176 cmentarzy oraz mogił nie uznanych za zabytkowe, a istniejących na obszarze woj. białkopodlaskiego.

Tomasz Demidowicz

Romanów i Bracia Kraszewscy. Pod red.

A. Czobodzińskiej - Przybysławskiej. Biała Podlaska - Romanów 1995, ss. 114 + 21 ilustr.

Nakładem Spółki z o.o. "Donatech" z Białej Podlaskiej i Muzeum J.I. Kraszewskiego w Romanowie, pod red. A. Czobodzińskiej - Przybysławskiej ukazało się bardzo interesujące opracowanie. Stanowi ono pokłosie sesji popularno-naukowej, jaka miała miejsce 12 IX 1993 r. pod hasłem: **Bracia Kraszewscy i ich rola w kulturze polskiej** z udziałem wybitnych znawców tematu, ludzi kultury i miłośników regionu, połączona m.in. z otwarciem wystawy okolicznościowej: Lucjan Kraszewski - malarz rysownik, fotograf, zorganizowanej przez dyrekcję muzeum w Romanowie. Opracowanie materiałów posesyjnych poprzedza napisany z polotem wstęp autorstwa wspomnianej A. Czobodzińskiej-Przybysławskiej, dyrektora muzeum, zachęcający do zapoznania się z referatami i komunikatami wzbogacającymi wiedzę nie tylko o J.I. Kraszewskim, ale nie mniej utalentowanych jego braciach Kajetanie i Lucjanie. Otwiera zbiór tychże materiałów obszerne studium T. Mencla, wybitnego znawcy nie tylko rodu Kraszewskich, ale czasów nowożytnych, zatytułowane: *Z dziejów Romanowa* (s. 9-64). Studium inicjatorzy wydania materiałów uznali za niezbędne, za swoiste wprowadzenie, a zarazem część podstawową, integralną z innymi studiami i komunikatami, które zostały ogłoszone na sesji. Zamysł ten należy pochwalić, gdyż rzeczywiście na tle pozostałych materiałów nie tylko wyróżnia się objętością, ale także stanowi udaną próbę całościowego spojrzenia na dzieje Romanowa i ród Kraszewskich. Tym bardziej, że autor tego studium miał niezwykle ciepły stosunek do rodu Kraszewskich i cieszył się z każdej inicjatywy dyrekcji muzeum mającej na celu popularyzowanie samego Romanowa, jak i rodu Kraszewskich. Zawartość merytoryczna studium nie tylko że nie budzi żadnych uwag, ale wręcz dostarcza uczty duchowej dla każdego czytelnika, któremu bliskie są spotkania z przeszłością, ze zmiennym i przemijającym czasem.

Interesująco także wypada kolejny artykuł - nowatorskie ujęcie A. Czobodzińskiej-Przybysławskiej o Lucjanie Kraszewskim - malarzu, rysowniku i fotografie (s. 65-73). Autorka ukazuje postać niezwykle barwną, o szerokich zainteresowaniach i dużych uzdolnieniach artystycznych. Wiedzę dotychczasową o tej postaci "dopełnia" o nowe szczegóły z życia i o nieznanym,

a zachowane pamiątki z jego spuścizny artystycznej jako amatora-artysty, malarza i fotografa. Nad "Monografią rodu Kraszewskich" kolejnego z braci Kraszewskich - Kajetana, z pozycji opinii współczesnych i z perspektywy schyłku XX wieku, zastanawia się w kolejnym z prezentowanych w opracowaniu referatów M. Kosman, wybitny znawca W. Ks. Litewskiego (s. 75-82). Refleksje swoje autor snuje na szerokiej panoramie czasów staropolskich i nowożytnych, ustosunkowując się do wydarzeń i postaci. W końcowej części podkreśla, na czym polegała wartość tej monografii, która do dziś zachowała wartość źródłową z jednej strony, z drugiej zaś "stanowi dowód zaangażowania Kajetana Kraszewskiego w utrwalanie przeszłości kraju i własnych przodków" (s. 81). Kolejne trzy referaty wygłoszone na sesji, a zamieszczone w tym wydawnictwie, odnoszą się do "największego" z trzech braci Kraszewskich - Józefa Ignacego Kraszewskiego. W pierwszym z tej grupy B. Kosmanowa przypomina J. I. Kraszewskiego jako pisarza regionalnego i narodowego (s. 83-88). Jawi się Kraszewski jako nie tylko Europejczyk, ale znakomity znawca "własnego kraju, autorytet moralny" tytan pracy, którego powieści przetłumaczono na 20 języków europejskich, przekłady objęły 128 utworów, a tłumaczenia ogółem 266 różnorodnych utworów. W podsumowaniu dodaje, że dzięki swoim zdolnościom i pracy J.I. Kraszewski spełniał rolę instytucji ogólnopolskiej i był ambasadorem polskim w czasie, kiedy ojczystego kraju nie było na mapie Europy.

W podobny sposób przedstawia J.I. Kraszewskiego L. Ludorowski w swoim referacie: "Józef Ignacy. Największy z rodu Kraszewskich" (s. 89-102). Autor ten, znawca historii literatury, stawia tezę, że był J.I. Kraszewski w naszej kulturze fenomenem pracowitości, płodności, "renesansowej wręcz wszechstronności zainteresowań" (s. 89). Na poparcie tej tezy przypomina, że nie tylko był Kraszewski pisarzem uprawiającym chyba wszystkie gatunki prozy, dziennikarzem i wydawcą, działaczem społecznym i politycznym, uczonym i badaczem wielu dziedzin humanistyki, ale także literatem, plastykiem, muzykiem i dziennikarzem. Wykład ten, podobnie jak dwa poprzednie autorstwa B. i M. Kosman, wzbogacają bardzo ciekawe rysunki autorstwa J.I. Kraszewskiego ze zbiorów Muzeum w Romanowie.

W ostatnim z prezentowanych studiów W. Sołtys poddaje analizie literackiej prądkawny świat powieści "Stara baśń" J.I. Kraszewskiego (s. 103-114). Podkreśla artyzm i plastyczność scen rodzajowych i gdzie "obyczaje i ludowe porządki symbolizują wieczne trwanie narodu i jego kultury, żywą więź przeszłości i teraźniejszości" (s. 112). Podtytuł zaś "Powieść z IX wieku

jest według referatu metatekstem uściślającym i określającym sferę dość wąsko pojmowanej faktografii dokumentacyjnej (s. 113-114).

Zgromadzone w tym wydawnictwie materiały wzbogacają w sposób wydatny naszą wiedzę o przeszłości, o Braciach Kraszewskich, którzy tak pięknie zapisali się w kulturze nie tylko regionalnej, ale ogólnopolskiej. Dowodzą, że rzeczy piękne i wielkie można tworzyć wszędzie, nawet na dalekiej prowincji, jaką w czasach nowożytnych był dwór Kraszewskich w Romanowie. Przekonują też o bogactwie przeszłości w wydarzenia i w osobowości, o których ciągle dowiadujemy się czegoś nowego. Mimo pewnych potknięć technicznych niniejsza pozycja wydawnicza powinna znaleźć się na półce bibliotecznej każdego miłośnika regionu i dziejów ojczystych.

Tomasz Demidowicz

Staraniem Przewodniczącego Białkopodlaskiego Sejmiku Samorządowego Tadeusza Łazowskiego ukazał się oczekiwany Informator samorządowy woj. białkopodlaskiego. Składa się tenże informator z trzech zasadniczych, ale integralnie ze sobą powiązanych części. Pierwszą jego część stanowi rodzaj informatora ogólnego o woj. białkopodlaskim, drugą część 25 pojedynczych wkładek poświęconych każdej z prezentowanych gmin i miast, wreszcie trzecią część stanowi mapa województwa. Informator zredagowany został, jeśli chodzi o tekst, w języku polskim i angielskim i według dość ciekawej koncepcji plastycznej. Przyjąć należy, że widocznie intencją inicjatorów tego rodzaju wydawnictwa była chęć pokazania woj. białkopodlaskiego z jak najlepszej strony pod kątem zachęcenia podmiotów gospodarczych do inwestycji, a turystów do odwiedzenia, z drugiej zaś podania niezbędnych informacji o każdym z miast i każdej z osobna prezentowanych gmin, z podaniem z imienia i nazwiska przewodniczących rad miejskich i gminnych, wójtów, burmistrzów i prezydentów poszczególnych miast. Czy tak szczytny i pożyteczny cel postawiony przed tym wydawnictwem został osiągnięty? Bliższe zapoznanie z treścią głównego informatora o woj. białkopodlaskim, jak z treścią wkładek poświęconych miastom i gminom, każe ostrożnie spojrzeć na przedsięwzięcie wydawnicze tego rodzaju. Prezentacja województwa wypada nieprzekonująco. Treść tekstu pióra Stanisława Jadczaaka budzi szereg wątpliwości, niesie informacje błędne i jest wewnętrznie nie tylko spójna, ale sprzeczna. Wydaje się tylko na pozór, że nic łatwiejszego nie ma, jak napisać tekst do takiego informatora. Naprawdę o wiele trudniej o tekst dobry i zrozumiały dla każdego w sytuacji, gdy stan badań nad dziejami ziem obecnie wchodzących w skład woj. białkopodlaskiego jest żenująco niedostateczny, ale rozpoznanie gospodarcze i kulturowe także nie ukończono. Można mieć też szereg uwag zasadniczych gdy chodzi o prezentację poszczególnych dziedzin życia woj. białkopodlaskiego. Powinno zachować się tutaj określoną gradację, bo jeżeli się stwierdza, że podstawowym działem woj. białkopodlaskiego jest rolnictwo, to rolnictwo to trzeba pokazać na pierwszym miejscu, a nie na piątym. Jeżeli szans upatruje się w rozwoju komunikacji i wyko-

rzystaniu położenia geograficznego przez np. turystykę i przemysł, to dział ten należy dać na drugim miejscu. W dziale kultura jeżeli nie ma się o czym pisać, to może odpowiednio połączyć z działem np. historia. Mieszkańcy tego regionu mają świadomość z dziada pradziada, że ziemia ta leży na linii strategicznej wschód-zachód. Położenie to w czasie wojen niosło zniszczenie, ale w czasie pokoju mniej lub bardziej było wykorzystywane. Zależało to w większym lub w mniejszym stopniu, ale decydującym, od polityki gospodarczej państwa, dopiero na drugim miejscu znaczenie miała inicjatywa lokalna. Źle się stało, że autor chce pokazać województwo jako skansen. Czy rzeczywiście zachował się np. dawny tradycyjny polski krajobraz tworzony przez drewnianą zabudowę podlaskich wsi i małych miasteczek (s. 3)? Po pierwsze nie ma na Podlasiu drewnianych w zabudowie wsi, a małych miasteczek w ogóle nie ma. Nie należy pisać nieprawdy. Rysowanie sielskiej i anielskiej Polski w tym akurat zakątku zakrawa na ironię, gdyż nie ma województwo ani nowoczesnego rolnictwa, ani hodowli, a sieć dróg z nawierzchnią utwardzoną była i jest niedostateczna. Szereg poważnych błędów i nieścisłości sformułowań spotykamy w dziale: Historia (s. 4-5). Nie można pisać w ten sposób, że "intensywna kolonizacja regionu przez szlachtę mazurską zaowocowała utworzeniem w 1520 r. nowej jednostki administracyjnej woj. brzeskiego" (s. 4). Po pierwsze osadnictwo mazurskie nie było intensywne i miało miejsce na ziemi łosickiej, po drugie nie miało ono nic wspólnego z powstaniem woj. brzeskiego. Prawdą jest, że obszar dzisiejszego województwa białkopodlaskiego w okresie staropolskim czy nowożytnym zamieszkiwali wyznawcy różnych kościołów, ale prawdą też jest, że religia rzymskokatolicka do początków XX w. była jedynie jedną z religii i nie dominującą. Podobnie dużo niefortunnych sformułowań spotykamy w działach: Komunikacja (s. 9), Rolnictwo (s. 10-11) czy Turystyka (s. 14-15). Czy do końca prawdą jest, że posiadamy "nie zdegradowane jeszcze lasy" i czyste powietrze? Bo tak naprawdę, czy to co zachowała przyroda było efektem zabiegów człowieka czy reliktem zacofania cywilizacyjnego tych ziem. Brak spojrzenia całościowego na problemy woj. białkopodlaskiego uwidacznia się w zarysowanej strategii rozwoju (s. 16). Może nie jest to wina autora tego opracowania, ale w kilku zdaniach skreślona strategia to żadna strategia. Na dziś nie posiadamy ani regionalnej sieci ośrodków miejskich, ani dobrze rozreklamowanych ośrodków maryjnych, czy wystarczającej, i na poziomie, bazy hotelowej i schronisk. Rolnictwo jest najważniejszą dziedziną życia i utrzymania, ale gdy wszystko inne jest nie znaczące, to w końcu z czegoś

ludzie w tym zakątku kraju muszą żyć. Podobnie pod względem treści, jakie z sobą niosą, nie wypadają obiecująco wkładki poświęcone miastom i gminom województwa. Przyjęta koncepcja graficzna i plastyczna budzi pewne uwagi, ale o wiele większe odnoszą się do jakości tekstu. Zdaniem recenzenta, jeżeli wydawnictwo to jest Informatorem Samorządowym, to powinno nieść szersze informacje o samorządach miast i gmin, łącznie z podaniem pełnych składów rad miejskich i gminnych. Adnotacje odnoszące się do gospodarki, historii, położenia, zabytków i turystyki powinny być bogatsze w fakty. Dzisiaj o wiele ciekawiej można już napisać o Czemiernikach, Wohyniu czy Wisznicach, nie mówiąc o Radzynie Podlaskim czy Międzyrzecu Podlaskim. Odnośnie tych ostatnich dwu miast, ukazały się nowe opracowania monograficzne. Autor właściwie nie dostarczył informacji żadnych na przykład o Drelowie, Zalesiu czy Komarówce. Nazwa Hanna nie ma nic wspólnego z żoną jednego z Jagiellonów, a królewska wieś Komarówka rzeczywiście ma metrykę XV w. i potwierdzone prawa miejskie od XVII w. Mamy szereg błędnych informacji o Rokitnie i Wohyniu. W tym ostatnim przypadku oczywiście nieprawdą jest, że Wohyń stracił prawo miejskie w 1740 r. Szeregu miastom i miasteczkom o metryce staropolskiej zabrano prawo miejskie decyzjami Komitetu Urządzającego z lat 1869-1870. Zdaniem recenzenta, w sytuacji braku wiarygodnych informacji historycznych o miejscowościach - siedzibach gmin należało raczej zrezygnować z adnotacji historycznych, niż zamieszczać tekst o niskiej lub żadnej wartości. W podobny sposób należało zachować się przy druku mapy. Wydana w ten sposób i z taką legendą mapa o niczym nie mówi ani potencjalnemu inwestorowi, ani turyście, jedynie podnosi wydatnie koszty wydawnictwa.

Niezależnie od szeregu krytycznych uwag, odnoszących się w niewielkim stopniu do koncepcji wydawnictwa, a raczej się do zawartości metrycznej, to jedno należy powiedzieć, że wydawnictwo tego rodzaju było potrzebne. Należy mieć jednak nadzieję, że w przyszłości, gdy ukaże się ono po raz wtóry, będzie o wiele lepsze, bogatsze w atuty, które woj. białsko-podlaskie posiada.

Tomasz Demidowicz

"Trzydzieści trzy" to słowo symbol. Nim Dariusz Promiński, białczanin, opieczętował swój pierwszy tomik poezji. Jakże wymowna jest ta liczba... W symbolice biblijnej wyraża pełnię i coś zamyka. Tę ideę widać w zamyśle poety, gdy pisze: "Trzydzieści trzy ptaki wyfrunęły z mych dłoni. Trzydzieści trzy myśli... echem zostały zamknięte". Zwieńczenie zaś tytułowego wiersza wskazuje na Tego, którego ziemskie życie wypowiedziało się w liczbie trzydzieści trzy. "Trzydzieści trzy co od zawsze tkwiło w duszy cierniem korony". Ten programowy wiersz autora w jakiejś mierze dotyka przestrzeni myśli całego tomiku, "szafirowej mogiły poezji". Z wierszy: "Agata", "Dwa światy", "Kopciuszek" emanuje bogaty, ekspresyjny świat uczuć wrażliwości, delikatności i piękna. A w "Dziękuję Ci" poczucie obdarowania prowadzi poetę do odkrycia nowych głębi: "Dziękuję Ci za wiatr co rozwał mglę wokół mnie... Dziś w oddali widzę punkt jaśniejący z dnia na dzień".

Cechą charakterystyczną poezji D. Promińskiego są puenty koronujące wiersze, na pozór paradoksalne, ale jakże wymowne, np. w "Ucieczce": "Czasem trzeba nie być, po to żeby być", lub w innym miejscu: "Czy czas mój jest stracony, czy też ja stracony jestem w czasie". Widać w tych refleksjach jakieś "szekspirowskie" pochylanie się nad ludzką egzystencją, np. w "Rozmowie z cieniem": "Raz jesteś wszystkim, by stać się niczym", czy też: "Ty idziesz ze mną, czy ja idę z tobą?". A nade wszystko zauważa się w tej poezji wołanie o prawdę, o człowieka, o wewnętrzną uczciwość, np. w: "Masce", "Marionetce", "Cyrkowym koniu...", "Lustrze". Poszukiwanie dochodzi do zenitu w "Spotkaniu z Jezusem", gdzie w słowach: "Moje myśli są tylko myślami, Twoje myśli są moim istnieniem" Autor jest u samego źródła mądrości, u samego źródła istnienia, w którym odnajduje siebie. "Dwa żywota, z pozoru takie same", w gruncie rzeczy zbiegają się ze sobą, w pragnieniu... A imiona ich TRZYDZIEŚCI TRZY.

Z treścią wierszy doskonale harmonizują grafiki Joanny Żuk oraz okładka i strona tytułowa projektu Marka Śliwińskiego. Za piękną szatę graficzną tomiku należy się uznanie redaktorowi technicznemu Dorocie Paszkiewicz i Wydawcy P.P.U.H. Kompus S.C.

Marek Skowroński OFMCap.

Z WYDARZEŃ KULTURALNYCH

Nie tylko disco po raz drugi

Amatorski ruch artystyczny w naszym województwie jest jeszcze wciąż bogaty i różnorodny. Zespoły teatralne, folklorystyczne, recytatorzy i śpiewający poezję od kilku, a nawet kilkunastu lat mają swoje festiwale i przeglądy, na których spotykają się i prezentują dorobek. Nie było, niestety, imprezy tanecznej, stąd właśnie pomysłu instruktora ROK-u p. Anny Leszczyńskiej i organizacja od 1995 r. Spotkań Dziecięcych Zespołów Tanecznych "W kręgu nie tylko disco". Drugiego czerwca na scenie amfiteatru do eliminacji stanęło aż dwustu wykonawców reprezentujących dwanaście zespołów, cztery duety i sześciu solistów z Białej Podlaskiej, Międzyrzecza Podlaskiego, Łosic i Wisznicy. Najwyższą nagrodę "Parkiet Mistrzów" zdobyły 4 zespoły: Studio Tańca "Tempo" i Zespół Taneczny "Domino", oba z Młodzieżowego Domu Kultury w Białej Podlaskiej, Zespół Taneczny "Aplauz" z Łosickiego Domu Kultury, Zespół Taneczny "Se-

zamki" z Miejskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji w Międzyrzeczu Podlaskim. Poza konkursem, gościnnie, wystąpiły dwa zespoły z Siedlec. Było wesoło, kolorowo i słonecznie.

Po raz dwudziesty pierwszy

w ogóle, a w Gminnym Ośrodku Kultury w Janowie Podlaskim po raz czwarty, spotkały się w maju zespoły teatralne (dziecięce i młodzieżowe) pracujące w domach kultury, klubach i szkołach. Amatorska zabawa w teatr ma w naszym województwie wielu zwolenników, ale najwięcej wśród dzieci, stąd w Janowie na dziewięć występujących zespołów aż osiem to teatry dziecięce. Najwyżej oceniony został "Drewniaczek" - teatr dziecięcy Regionalnego Ośrodka Kultury - prowadzony przez p. Stanisławę Szymani. Zespół ten pracuje od sześciu lat i poza corocznym udziałem w wojewódzkich spotkaniach występuje w szkołach podstawowych, przedszkolach i domach dziecka. Z ostatnim, nagrodzonym

spektaklem "Plotki, ploteczki" już 12 czerwca wystąpił w Szkole Specjalnej w Białej Podl.

Królowej Podlasia śpiewajmy

to motto II Podlaskiego Festiwalu Pieśni Maryjnej. Po raz drugi w Sanktuarium Maryjnym w Leśnej Podlaskiej spotkały się zespoły i soliści z ośrodków kultury, kościołów i parafii. Wprawdzie pogoda i komary płały różne figle, ale serdeczność gospodarzy - Ojców Paulinów, podniosły nastrój, a przede wszystkim realizacja celu - idei festiwalu sprawiły, że wszyscy czuli się dobrze i radośnie. Nagrodę grand prix wyśpiewał wspólnie zespół wokalny z GOK w Wisznicach, zaś nagrodę publiczności zdobył zespół miejscowy - zrzeszający maluchów "Bratek". Wszyscy uczestnicy i widzowie na pewno nie zapomną koncertu gościa festiwalu - zespołu wokálnego z Miejskiego Ośrodka Kultury w Jarosławiu. Ogółem w Festiwalu wzięło udział 14 zespołów z Wisznic, Radzynia Podl., Łomaz, Platerowa, Kodnia, Leśnej Podl., Tucznaj, Janowa Podl., Białej Podl.

Święto Poezji

Już po raz kolejny Koncert Finałowy XIII Spotkań Recytatorskich dla Dzieci odbył się w gościnnym Ulanie. Było sporo trzynastkowych niespodzianek - biegający smok, krótkie scenki teatralne z zaskakującą puentą, dobre duszki, skaczące guziki i ubieranie strachów na wróble. Wszystko to towarzyszyło trzem koncertom recytatorskim w wykonaniu 74 zakwalifikowanych w eliminacjach rejonowych młodych recytatorów z całego województwa. Była więc chwila refleksji, jak również działania twórcze z pogranicza plastyki, co stworzyło w sumie niezapomniany klimat spotkania ludzi wrażliwych na piękno literatury i ojczystego języka. Liczba uczestników, zarówno tych występujących jak i obserwatorów, napawa nadzieją, że przy ogólnym zalewie chamstwa i bylejałości jest jednak miejsce na kulturę.

Współczesna sztuka ludowa

Wystawa w Muzeum Okręgowym w dn. 31.03.- 12.05. pokazała plon, po raz 15 już zorganizowanego konkursu na współczesną sztukę ludową południowego Podlasia. W te-

gorocznym - z woj. białkopodlaskiego wzięło udział 34 twórców, którzy przedstawili prace z zakresu tkactwa - "dywany", obrusy, bieżniki, elementy strojów ludowych - rzeźbiarstwa, malarstwa, plecionkarstwa, plastyki obrzędowej. "Organizatorzy starają się nie sugerować konkretnych tematów lecz jedynie dyskretnie zachęcać do sięgnięcia do tradycyjnych technik, surowców i tematów. Zamiarem organizatorów jest bowiem ocalenie najcenniejszych, najstarszych, autentycznych wartości tradycyjnej kultury ludowej". (...) "Pojawiły się nowe nazwiska (...), ale wielu starszych, świetnych twórców zaprzestało pracy ze względu na stan zdrowia, i coraz trudniej będzie zachować tradycyjne rękodzieło od zapomnienia" - napisała w katalogu wystawy "Sztuka ludowa Południowego Podlasia '96" p. Alicja Mironiuk, starszy kustosz muzeum. Na wystawie znalazły się również prace twórców z województwa siedleckiego, bowiem zarówno konkurs, jak i wystawa, corocznie organizowane są przy współpracy Muzeum Regionalnego w Łukowie i Muzeum Okręgowego w Siedlcach. Po zakończeniu prezentacji w Białej Podl. mogli ją obejrzeć mieszkańcy woj. siedleckiego.

Wystawa twórczości Bazylego Albiczuka

Słynny "malarz ogrodów" z Dąbrowicy Małej zmarł w 1995 r. w wieku 86 lat. W ostatnich latach życia wyraził wolę, aby spuścizna artystyczna, po jego odejściu, znalazła się w Muzeum Okręgowym w Białej Podlaskiej. Malarstwo, akwarele, rysunki, makatki, korespondencja, dyplomy, zdjęcia, wydawnictwa, notatki - wszystko to można obejrzeć na wystawie w Muzeum w dn. 11.06. - 18.08.96. Muzeum Okręgowe planuje otwarcie stałej galerii poświęconej twórczości sławnego malarza, gdy zostaną wyremontowane przeznaczony na ten cel pomieszczenia. Artysta, o czym mało kto wiedział, zafascynowany był również poezją, pisał wiersze po ukraińsku (większość) i po polsku. Zostawił również wiele notatek, zapisków, listów, szkiców. Wszystko to wymaga uporządkowania, opracowania i inwentaryzacji, by można było zbiory udostępnić.

Galeria Podlaska

W drugim kwartale 1996 roku Galeria Podlaska zaproponowała trzy wystawy: ilustracji książkowej człowiego polskiego artysty zajmującego się tą gałęzią plastyki - Józefa

Wilkonia, sztuki konceptualnej "6+6" polskich i białoruskich artystów, malarstwa Jagody Adamus z Bielska Białej. Trzy jakże różne ekspozycje, dotyczące trzech odmiennych sposobów artystycznego wyrazu. Przeznaczone także dla trzech różnych grup odbiorców sztuki. Ilustracje i formy przestrzenne wyobrażające bajkowe postacie i zwierzęta, wykonane w nieprawdopodobnie ciepłym, z odrobiną dowcipu, klimacie, znalazły odbiorców wśród najmłodszych miłośników sztuki. Najliczniejsze grupy na wystawie to dzieci ze szkół podstawowych. Józef Wilkoń obiecał odwiedzić Galerię Podlaską jeszcze raz, prowadząc jesienią akcję plastyczną właśnie z dziećmi. Wystawa "6+6" skierowana do dojrzałych, bardziej wyrafinowanych odbiorców sztuki. Rozumienie prac na niej przedstawionych wymagało umiejętności umożliwiającej właściwą ich interpretację. Nabywa się ją poprzez częsty kontakt ze sztuką konceptualną. Szczególnie interesujące były prace białoruskich artystów z Witebska - miasta Chagalla i Malewicza, obecnie centrum awangardy Białoruskiej sztuki. Ich obiekty w naszej Galerii to duże artystyczne wydarzenie. Martwe natury Jagody Adamus - spokojne i stonowane, zawierające, mimo niedosłowności, historię przedmiotów, które tak jak ludzie mogą być interesujące. A gdy przedstawi

się je w sposób tajemniczy, działając kolorem i odpowiednim pociągnięciem pędzla, nabierają dodatkowych cech. W wakacje zapraszamy do odwiedzenia Galerii, obejrzenia wystaw: rysunku i grafiki Dariusza Piekuta i plakatów z wilanowskiego muzeum, do wzięcia udziału w "ART NOCY" z wieloma artystycznymi atrakcjami oraz "spotkania" z UFO wraz z "kosmicznym" malarstwem.

M.J.

Mistrz filozoficznej kultury z Podlasia Południowego

W tym roku przypada dziesiąta rocznica śmierci ks. prof. Stanisława Kamińskiego z Radzyna Podlaskiego. Z tej okazji dnia 16 IV 1996 Katedra Metafizyki na Wydziale Akademii Teologii Katolickiej na Bielanach w Warszawie zorganizowała sympozjum poświęcone życiu i działalności naukowej tego uczonego pod hasłem "Czy warto jeszcze filozofować". Rektor uczelni, ks. prof. Jan Łach, w przemówieniu na rozpoczęcie sympozjum stwierdził, że ks. St. Kamiński wskazuje drogę poprawnemu filozoficznemu i teologicznemu myśleniu. Wypowiadali się o nim profesoria Katolickiego Uniwersytetu

Lubelskiego, na którym Zmarły wykładał poczynając od 1947 roku: jego kolega ks. Marian Kurdziałek pochodzący również z Podlasia, podkreślał, że ks. St. Kamiński wykazywał zasadnie nieodłączny związek teologii i filozofii; natomiast w homilii ks. prof. Józef Herbut świadczył iż ks. St. Kamiński w pełni akcentował tezę, że rozum jest ulubionym tworem Bożym i uczył tego, co nazywa się szeroko pojętą kulturą filozoficzną, w zakresie filozofii i teologii. Ks. prof.

A. Bronk, werbista, mówił o przedmiotowej zależności między filozofią a teologią i ukazywał miejsce i rolę filozofii w życiu człowieka. Według mówcy mądrość filozofii pozwala jednoczyć poznanie naturalne i nadprzyrodzone. Powiedział, że w ostatnich latach życia ks. St. Kamińskiego napięcie między rozumem a wiarą religijną zwyciężyło na rzecz pociechy, jaką daje religia. W naszym czasopiśmie przedstawialiśmy już sylwetkę filozoficzną Filozofa z Radzyna Podlaskiego. Był on współtwórcą filozoficznej szkoły lubelskiej wraz z papieżem Janem Pawłem II, prof. Stefanem Świeżawskim, dominikaninem Mieczysławem Albertem Krąpcem i innymi. Zajmował się historią logiki, logiką formalną, metodologią nauk. Wprowadził na

wydziały KUL kulturę logiczną. (Por. *Podlaski Kwartalnik Kulturalny* 1/92 s. 26-28 i *Słowo. Dziennik Katolicki* 18 IV 1996, s. 4) (J. Cygan)

SPIS TREŚCI:

A. Kutnik	- Miasto i powiat Biała Podlaska podczas II wojny światowej, cz. I	3
Z. Oziembło ks.	- O Neplach nad Bugiem	26
Praca zbiorowa	- Obrońcy wiary i polskości	36
R. Kornacki	- Podlaskie refleksje	45
J. Huczko	- Ksiądz Stanisław Leśniowski 1884-1942	48
Recenzje		
J. Cygan, OFMCap.	- Stefan Józef Pastuszka, Teatr ludowy w II Rzeczypospolitej	58
T. Demidowicz	- Janusz Maraśkiewicz, Zabytkowe cmentarze i mogiły w Polsce. Woj. bialskopodlaskie	61
T. Demidowicz	- A. Czobodzińska-Przybysławska, Romanów i Bracia Kraszewscy	64
T. Demidowicz	- Województwo bialskopodlaskie. Informator samorządowy	67
M. Skowroński, OFMCap.	- Dariusz Promiński, Trzydzieści trzy	70

W następnym numerze m.in.:

- | | |
|----------------|--|
| A. Kutnik | Miasto i powiat Biała Podlaska
podczas II wojny światowej, cz. II
Rok 1939: wkroczenie sowietów
i początki okupacji niemieckiej |
| T. Demidowicz | Sławomir Makaruk, 1932 - 1963 |
| F. Zańko | Z dziejów szkoły we wsi Kobylany |
| J. Huczko | Wanda Madlerowa, 1892 - 1969
- dyrektor gimnazjów w Zamościu
i w Białej Podlaskiej |
| H. Mierzwiński | Związek Nauczycielstwa Polskiego
90 lat w służbie narodu i państwa |
| A. Mazurek | Wspomnienia z lat nauki w gimnazjum
im. J. I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej |